Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT — MONTHLY REVIEW

Nr 126 (Rok VIII, Nr 9) | Wrzesień, 1948 | Cena (Price) 2/-

NEP DOBIEGA KOŃCA

LUDZIE w roku 1945 byli przygotowani na najgorsze. Toteż wielu doznało miłego rozczarowania, że rządy okupacji komunistycznej w Polsce to jest „tylko" to. A miłemu rozczarowaniu towarzyszyło optymistyczne i poczciwe wezwanie do przyjaciół na Zachodzie: „Wracajcie". Kto wówczas przestrzegał, że sytuacja w Polsce jest zupełnie chwilowa, że jest to możliwie dokładne powtórzenie „Nepu", ten wyrabiał sobie opinię maniaka zapatrzonego w przeszłość, niemal „białego emigranta". Czasami tłumaczono takiemu: Bolszewicy sami mówią, że dużo się nauczyli od roku 1917, że dzisiaj inaczej by robili rewolucję rosyjską, uniknęliby wielu błędów i niepotrzebnych kosztów i że nie mają zamiaru powtarzać roku 1917 w Europie.

Jeżeli bolszewicy tak mówili, to mówili zapewne szczerze. Istotnie nie mają oni zamiaru powtarzać błędów rewolucji 1917, to znaczy tego co sami uważają za błędy. Twórcza ewolucja musi następować ich zdaniem i w tak ważnej sprawie jak metody rewolucji, zależne od warunków materialnych danej epoki. Natomiast cel, któremu służyła rewolucja w Rosji jest święty i musi być osiągnięty w innych krajach, choć niekoniecznie tymi samymi metodami. Rewolucja rosyjska i jej doświadczenia traktowane są jak szkoła, a na ich interpretacji kształcą się dzisiejsi „łagodni rewolucjoniści". Nauczyli się oni na przykład, że próba urzeczywistnienia ustroju kolektywistycznego bezpośrednio po chaosie wojenno-rewolucyjnym była błędem, że Lenin musiał się cofnąć, zarządzić „Nep" na kilka lat, a dopiero gdy „nepmani" odbudowali trochę życie, można było przystąpić do kolektywizacji wsi i pierwszej piatiletki. W Polsce okres „Nepu" rozpoczął się trzy lata temu. Obecnie, po trzech latach, dobiega on końca. Zapowiedziano już walkę z „kułakami" i „spółdzielczą" gospodarkę rolną. Nie dopuszcza się przy tym do odbudowy gospodarki chłopskiej przez nie dostarczanie nawozów sztucznych i inwentarza. Pozwoli to wykazać w przyszłości wyższość gospodarki kolektywnej nad indywidualną i zacofanie wolnego gospodarza. Nie jest to jednocześnie posunięcie tylko komunistów w Polsce. Podobne zamiary kolektywizacji ogłoszono i w innych krajach okupowanych, a pierwszą ich zapowiedzią był manifest Kominformu potępiający Tito, między innymi właśnie za odmowę wprowadzenia kolektywizacji w Jugosławii.

Na razie są to dopiero zapowiedzi, urzeczywistnianie ich może się nie rozpocząć nawet jeszcze w tym roku, zwłaszcza wobec bardzo niepewnego położenia międzynarodowego. Ale ostatecznie „Nep" w Rosji trwał też dłużej niż trzy lata...

ROZMOWY W MOSKWIE

W prasie amerykańskiej słusznie zwrócono uwagę na fakt, że rozmowy dyplomatyczne w Moskwie zostały wszczęte za wcześnie o tyle, że mocarstwa zachodnie — Stany Zjednoczone i Wielka Brytania — w chwili ich rozpoczęcia nie były gotowe do poparcia swojego stanowiska siłą, ani nie była wykończona organizacja Europy zachodniej w sensie politycznym i wojskowym. W tym stanie rzeczy Moskwa znalazła się w dogodniejszym położeniu w rokowaniach, jeśli chodzi zarówno o blokadę Berlina jak i problem Niemiec jako całości. W Berlinie Rosja ma niemal wszystkie atuty w swoim ręku, a wśród nich atut najważniejszy: kontrolę nad liniami komunikacyjnymi łączącymi Berlin z Zachodem. Wprawdzie transport lotniczy żywności i węgla do zachodnich stref Berlina został zorganizowany na skalę, której na pewno Rosjanie nie przewidzieli, niemniej trudno sobie wyobrazić, by zaopatrywanie tą drogą dwóch i pół miliona ludności mogło trwać w nieskończoność. Nie trzeba być ekspertem, by wiedzieć, że miesiące zimowe wpłynąć muszą poważnie na ograniczenie transportu lotniczego. W tej sytuacji mocarstwa zachodnie są stroną przyciskaną do muru w Berlinie, i one są zmuszone szukać jakiegoś rozwiązania.

Tymczasem cena, jaką Moskwa chciałaby uzyskać wzamian za zniesienie blokady, jest nader wysoka. Z jednej strony polityka rosyjska uparcie domaga się wyłączności kontroli nad gospodarką finansową Berlina, z drugiej zaś strony domaga się porzucenia przez mocarstwa zachodnie organizmu państwowego w Niemczech zachodnich. W pierwszym wypadku zgoda państw zachodnich oznaczałaby faktyczną rezygnację z dotychczasowej pozycji w Berlinie, choćby w nim nadal formalnie zostały garnizony. W drugim zaś wypadku przez współudział w decydowaniu o losie Niemiec zachodnich Rosja uzyskałaby możliwości zasadniczego podcięcia ekonomicznego i politycznego bloku zachodnio-europejskiego.

Wobec takiego dylematu rozmowy moskiewskie nie mogły przynieść zasadniczego rozwiązania. Nic bowiem nie wskazuje na to, by Rosja zechciała wycofać się z Niemiec wschodnich (a do ich pełnego posiadania konieczny jest Berlin), ani też by mocarstwa zachodnie mogły zgodzić się na rozszerzenie wpływów sowieckich w Niemczech zachodnich. Kompromis berliński, mógłby być tylko pozorny i krótkotrwały.

AMERYKANIE OPANOWUJĄ AFRYKĘ

Wiele się mówi i pisze o działaniu politycznym i gospodarczym polityki amerykańskiej w krajach Europy Zachodniej — o planie Marshalla, unii zachodniej, pertraktacjach wojskowych. Niewspółmiernie mniej słychać o działalności amerykańskiej w Afryce. A jednak jest ona nie mniej ważna, a więcej może jeszcze rzucająca światła na plany amerykańskie, niż polityka Stanów w Europie.

Jeżeli się patrzy na Europę z punktu widzenia amerykańskiego, to przedpole europejskie na zachód od żelaznej kurtyny jest terenem bardzo małym i zbyt płytkim dla przygotowania operacji na naprawdę wielką skalę, gdyby chodziło o wojnę z eurazjatyckim kolosem sowieckim. Obsłużenie ewentualnego frontu od Atlantyku co najmniej po Kaukaz wymaga niezmiernie głębokich i względnie bezpiecznych komunikacji tyłowych. Jak twierdzi prasa szwajcarska, zasadnicza linia komunikacyjna, dokoła której powstać ma tzw. przez Amerykanów „druga zona kontaktu", idzie od

Gibraltaru w poprzek Afryki łukiem aż ku Mehalli w Arabii, a stamtąd zawraca do Ankary, stolicy Turcji.

Najbardziej opanowanym przez Amerykanów krajem afrykańskim jest murzyńska republika Liberia, rządzona przez potomków Murzynów amerykańskich. W Liberii bawi wielka misja gospodarcza amerykańska. O rozmiarach tej misji daje pojęcie choćby to, że w skład jej wchodzi dwustu techników kolejowych i większa jeszcze ilość specjalistów od budowy lotnisk i komunikacji powietrznej. Nie tylko rozbudowuje się sieć kolejową, ale buduje autostradę z Liberii do Dakaru, stolicy Francuskiej Afryki Zachodniej. Do Dakaru przybył niedawno b. podsekretarz stanu USA Stettinius, na czele misji mającej „zmodernizować" komunikację i życie gospodarcze tego regionu.

Na przeciwległym wybrzeżu Afryki Amerykanie są niezwykle czynni w Abisynii. Działają tam trzy wielkie firmy przemysłowe, których znaczenie wykracza poważnie poza sprawy czysto ekonomiczne. Na czele *Ethiopian Air Line* stoi nie kto inny, jak generał Wilson w charakterze dyrektora. Dwie pozostałe firmy to *Sinclair Oil Company* i *Ethiopian Company for the Development of Commerce and Industry.*

Całością spraw afrykańskich kieruje *American Council of African Affaires.* Najciekawszą bodaj z punktu widzenia politycznego stroną tej działalności jest stosunek do kwestii murzyńskiej. Amerykanie, nie obciążeni w przeciwieństwie do Anglików, Francuzów czy Belgów kwestią kolonialną, stawiają wyraźnie na politykę emancypacji Murzynów. W tej akcji wybitną rolę grają czarni Amerykanie. Wielu żołnierzy amerykańskich pochodzenia murzyńskiego, którzy byli w Afryce w czasie drugiej wojny światowej powróciło tam obecnie w charakterze funkcjonariuszy firm amerykańskich i członków różnych amerykańskich misji. Niemałą rolę odgrywają także protestanckie misje religijne. W kołach urzędników kolonialnych brytyjskich mówi się nawet o „oficerach w sutannie".

Amerykanie wydają trzy pisma afrykańskie, a mianowicie: *The African, The New African* i *New Africa.* Pisma te wydawane są w wielkich nakładach i kolportowane na całym kontynencie. Budzą one zastrzeżenia administracji kolonialnej. Belgowie np. zakazali ostatnio rozpowszechniania ich w Kongo.

Do niedawna jedynym czynnikiem który usiłował rozgrywać sprawę ludów kolorowych w Afryce była międzynarodówka komunistyczna. Obecnie przeciw polityce sowieckiej na znacznie większą skalę wystąpiła polityka amerykańska ze swoją ideą emancypacyjną i ogromnymi środkami. Łączy ona w sobie w bardzo ścisły sposób czynniki gospodarcze, wojskowe i ideologiczne. Jest rzeczą znamienną, że obszar zainteresowań tej nowej polityki amerykańskiej nie obejmuje na północy ludów arabskich, ani nie sięga na południu ku terenom Unii Południowo-Afrykańskiej. Ogranicza się ona do szerokiego pasa, ciągnącego się w poprzek Czarnego Lądu od Atlantyku po Ocean Indyjski i Morze Czerwone, wskazując przez to wyraźnie na pas przyszłych komunikacji tyłowych w zmaganiach trzeciej wojny światowej, z którą coraz bardziej trzeba się liczyć.

SIEDEMNASTA I NASTĘPNE?

Raz po raz pojawiają się w prasie zachodniej przypuszczenia, że taki czy inny kraj środkowo-europejski zostanie włączony do Sowietów. Mówi się o Rumunii, czasem o Rumunii i Bułgarii. Ludzie mają świeżo w pamięci włączenie krajów bałtyckich i spodziewają się tego samego. Czy słusznie? Czy nie daje do myślenia, że zagarniając kraje bałtyckie, Sowiety nie zagarnęły Finlandii? I tu może warto zajrzeć do doświadczeń sowieckich, z których czerpać będą nauki wierni wyznawcy moskiewskiej szkoły politycznej.

Zanim powstał Związek Sowiecki, istniała Rosyjska Socjalistyczna Federacyjna Republika, a w sojuszu z nią „niepodległe" republiki socjalistyczne: Ukraińska, Białoruska, Transkaukaska itd. Nie włączono tych republik do Rosyjskiej Federacyjnej. Nie rozwiązano także Federacyjnej Rosyjskiej i nie utworzono Związku republik „niepodległych" z „narodowościowymi". Zachowano Republikę Federacyjną Rosyjską i wprowadzono ją do nowego szerszego Związku z „niepodległymi". Gdyby wprowadzono tamte do RSFSR, Rosjanie mogliby utracić w niej pozycję dominującą. Gdyby RSFSR rozparcelowano, republika rosyjska stałaby się największą, ale jedną z wielu republik. Tak jak zrobiono, Rosjanie mają bezwzględną przewagę w RSFSR, ta zaś ma bezwzględną przewagę w ZSRR.

Gdyby dziś wprowadzić do ZSRR kilka nowych, ludnych, cywilizowanych i zwartych narodowo republik ze środkowej Europy, mogłoby to zachwiać pozycją Rosjan w Związku. Czyż nie bezpieczniej pójść wypróbowaną metodą i ponad ZSRR stworzyć szerszą nadbudowę jakichś „Ludowych Demokracji Świata", jakiegoś bloku wolności i postępu, w którym ZSRR dominowałby, jak w nim dominuje RSFSR, a w tejże Rosjanie? Może się to odbyć z formalnymi uroczystościami albo bez, ale to już właściwie jest, byle dalej upodabniać wieniec republik zewnętrznych do Związkowych.

Wyjątek jakiś może się oczywiście zdarzyć. Z dwóch pierwszych „demokracji ludowych" Mongolia Zewnętrzna istnieje do dziś dnia, a Buchara została już dawno zaanektowana.

WATYKAN A GRANICA ODRA—NISA

Pod tytułem „Radio watykańskie o granicach Polski" *Tygodnik Warszawski*, zbliżony do warszawskiej Kurii Arcybiskupiej, zamieścił w numerze z dnia 15 sierpnia następującą notatkę:

„W związku z pobytem 7 bm. Ks. Kardynała Sapiehy w Rzymie prasa zagraniczna snuje na ten temat różne przypuszczenia. Kardynał był przyjęty na audiencji przez Ojca św. 25 lipca.

„Radio watykańskie w ubiegłym tygodniu, powołując się na dzienniki polskie, atakujące Papieża z racji listu do Episkopatu niemieckiego, zbija punkt po punkcie fałszywe w tej sprawie twierdzenia, jakoby Pius XII żądał rewizji obecnej granicy polskiej na Odrze i Nisie i przywrócenia Ziem Odzyskanych Niemcom. Radio watykańskie jeszcze raz stwierdza, że te insynuacje są zgoła nieprawdziwe i że troska Ojca św. o Polskę nie może być w żadnym wypadku mniejsza aniżeli o Niemcy".

Tyle *Tygodnik Warszawski.* Na krótko przed tym prasa reżymowa w Polsce podała z wielkim hałasem treść komunikatu niemieckiej katolickiej agencji prasowej CND w Monachium, pochodzącego jakoby od Watykanu, a polemizującego z wywodami krakowskiego *Tygodnika Powszechnego* w sprawie listu Papieża do biskupów niemieckich. Równocześnie pisma reżymowe doniosły za *Neuer Westfaelischer Kurier*, jakoby rozgłośnia watykańska podała w języku niemieckim, iż Papież Pius XII „nigdy ani jednym słowem nie wyraził poparcia granicy na Odrze i Nisie".

Ponieważ mamy tu znów do czynienia z wyraźną propagandą komunistyczną, skierowaną przeciw Watykanowi, byłoby pożądane, aby miarodajne czynniki katolickie ogłosiły pełną treść odnośnych komunikatów radiowych, oraz stwierdziły, czy i w jakiej mierze doniesienie agencji CND można uważać za enuncjację Watykanu.

BEZBRONNY MATERIALISTA

W bardzo reklamowanej *Kulturze* paryskiej ukazały się w ciągu bieżącego lata artykuły pióra jednego z współpracowników tego pisma Andrzeja Bobkowskiego. W numerze 6 rozmowa imaginacyjna zatytułowana „Pożegnanie" a w numerze 9—10 równie imaginacyjny „List". Rozmówcą i adresatem listu p. Bobkowskiego jest „Gandhi", człowiek który uwiedziony wolnością Zachodu ucieka z Polski, ale rozczarowany wraca znów dobrowolnie za żelazną kurtynę. W artykule „Pożegnanie" p. Bobkowski z wielkim przekonaniem wygrzebał wszystkie oznaki rozkładu świata zachodniego. Rozczarowanemu rozmówcy swemu („Gandhiemu") włożył w usta argumenty, na które sam nie umiał lub nie chciał odpowiadać. „Stajesz się bigotem jakiejś mglistej religii. A tam wypadki pędzą" — mówi „Gandhi", smagając słowami gnijący, bezideowy i pełny hipokryzji Zachód — cywilizację chrześcijańską.

Nic dziwnego, że taki artykuł wzbudził echa — po tej i tamtej stronie kurtyny.

Tutaj, tygodnik *Życie* w numerze 24 (z 25 lipca 1948) odpowiada artykułem Zdzisława Stahla pt. „Anteny pisarza" P. Stahl robi *Kulturze* zarzut nieprzemyślanego gospodarowania treścią ideologiczną tego pisma, które ma reprezentować prawdziwie polską kulturę, a tymczasem dławi się (w Paryżu) „gnijącym Zachodem". „Wszystkie rewelacyjne prawdy „Pożegnania" można dzisiaj wyczytać w byle jakiej gazecie czy broszurze komunistycznej, rozpowszechniającej bez przeszkód argumenty sowieckie na Zachodzie, albo przez wydawnictwa kół rządzących za „żelazną kurtyną". Miesięcznik *Kultura* ubrał jedynie ów jadłospis dla agitatorów komunistycznych w bardzo staranną literacką formę i następnie ogłosił na swoich łamach. Po co? Cui bono?"

Wydaje się, że artykuł p. Stahla porusza sprawę bardzo istotną dla polskiej prasy emigracyjnej, która nieraz wyręcza wrogi nam świat w akademickich i trochę *à la manière russe* dysputach. Niewątpliwie p. Bobkowski ma w ocenie Zachodu wiele racji, ale nie widzi ani przyczyn, ani skutków, ani też nie ma żadnych, dosłownie żadnych, koncepcji i argumentów przeciwko ofensywie, ideologicznej ze Wschodu. Nic

dziwnego, że rozmówca w „Pożegnaniu" dialektycznie góruje i odjeżdża zostawiając cierpiącego Werthera pod latarnią paryską.

Nie koniec na tym. Odjeżdża i włącza się w rzeczywistość krajową: „Opis naszego spotkania i naszej ostatniej rozmowy przedrukowano w kraju. Przyznam się, że skwapliwość z jaką to zrobiono była dla mnie symptomatyczna" — pisze teraz w „Liście" p. Bobkowski żaląc się swemu „Gandhiemu". *O sancta simplicitas!* A cóż autor „Pożegnania" myślał, że tam będą tak samo chodzić, spoglądać na opalonych chłopców nad Sekwaną czy inną rzeką i szukać *kiełbasianego bakcyla!* Tam idzie walka. Walka ze społeczeństwem i właśnie z polską *kulturą*. Wszystko, co w tej walce może się przydać, jest podchwytywane. To wcale nie takie dziwne, że się przydało „Pożegnanie". Że tam jakieś trzy zdania wyrzucono! Tak przecież komuniści robią od dawna. Nie ma dla nich żadnych dogmatów, żadnej prawdy obiektywnej z naszej skali pojęć — jest przyrodnicza kolejność zdarzeń i tyle.

„List" wycofujący się w sposób nieporadny z kapitulacyjnego tonu „Pożegnania" pogrąża jeszcze bardziej p. Bobkowskiego w opinii czytelnika, który *wie* po co tutaj przebywa. To nie dziś, w 1948 roku, ale o wiele wcześniej trzeba było sobie powiedzieć, co jest istotą *naszej walki*. Trzeba znać także i wszystkie słabe strony Zachodu, a znając — nie utożsamiać siebie właśnie z tą najgorszą połową chorej cywilizacji. Publicystyka polska ma dość hamletyzowania. Każdy, kto się poczuwa do odpowiedzialności za słowo drukowane, powinien znać użytkową wartość tego, co pisze. Inaczej — niech milczy. Żeby nie było dalszych nieporozumień, warto podkreślić, że nie uważamy publikacji p. Bobkowskiego za jakąś rozmyślną akcję na rzecz wszystkiego, co nam jest przeciwne. Widzimy w tym jedynie bezbronność myślenia materialistycznego, przed argumentami, które po tej samej linii idą — dalej.

SÉCURITÉ I BEZPIEKA

Czytając prasę krajową ma się dwa sprzeczne uczucia: w jednych czasopismach znajdujemy takie wypowiedzi, które nieraz napawają nas obawą o los autora (Bezpieka nie oszczędza intelektualistów), w innych tygodnikach natomiast znajdujemy ślad coraz głębszego oportunizmu. Oto drobny szczegół. P. Jerzy Zagórski, współpracownik *Odry* opisuje powrót repatriantów z Francji, odprawę celną na granicy francuskiej, celników i policję francuską. „Przychodzi *Sécurité* — pisze p. Zagórski — francuskie UB)" — powiada w nawiasach.

P. Zagórski, który był na Zachodzie, wie doskonale, że ani we Francji, ani w żadnym kulturalnym kraju nie ma niczego podobnego do UB. Nie ma tu żadnej instytucji do walki z własnym społeczeństwem, a to przecież jest głównym zadaniem Bezpieki. I dlatego takie porównanie jest płaskim kłamstwem i wprowadzaniem Polaków w błąd, wmawianiem, że właściwie wszędzie na świecie wolność jest taka sama, jak pod opieką Radkiewicza.

Jeżeli już koniecznie chciał p. Zagórski przypodobać się UB, to przecież mógł użyć porównania jedynie właściwego: — UB — sowieckie NKWD.

OLIMPIADA

Czternasta Olimpiada odbywała się w swoistej atmosferze. Święto zbratania narodów i wspólnoty cywilizacyjnej całego świata, mające odźwierciadlać dawną wspólnotę kulturalną starożytnej Grecji, przebiegło w nastroju napięcia międzynarodowego i widma nowego konfliktu światowego. Sowiety w zawodach udziału nie brały, jakkolwiek przyjechały drużyny państw satelickich.

Uderzający był w porównaniu z poprzednimi Olimpiadami wzrastający udział narodów zamorskich w stosunku do europejskich. Europa spadła również i na polu sportu międzynarodowego do roli jednego z pięciu kontynentów. Wprawdzie nie było Japończyków, którzy tak poczesne miejsce zajęli na poprzedniej Olimpiadzie, mimo to jednak udział kolorowych był większy może niż poprzednio. Zespół amerykański był zespołem mieszanym czarno-białym. Czarni występowali także w zespołach państw południowo-amerykańskich i Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Odśpiewany na zakończenie chorał o pokoju i współpracy brzmiał nieco nieprzekonywająco. Sztandar olimpijski przekazano Finom — następna Olimpiada ma się odbyć w roku 1952 w Helsinkach. Helsinki 1952... No, zobaczymy.

A. KRZEMIŃSKI

ROK 1948 NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

OTWARTA w dniu 21 lipca br. we Wrocławiu wystawa Ziem Odzyskanych budzić musi mieszane uczucia. Z jednej strony jest ona imponującym przejawem żywotności i mądrego, celowego wysiłku społeczeństwa polskiego. Pokazuje, że naród polski — mimo potwornych ofiar, jakie poniósł w czasie Drugiej Wojny Światowej, mimo klęsk i krzywd mu zadanych — nie załamał się i walczy nadal o nie byle jakie miejsce w świecie. Wyparty gwałtem przez własnych sojuszników z połowy swego obszaru państwowego, wciśnięty w ramy wrogiego i obcego mu systemu, postawiony w obliczu niepewnego jutra i nowych niebezpieczeństw, godzących w samo jego istnienie, zdołał nie tylko odbudować w znacznym stopniu swe życie gospodarcze i społeczne, ale także zaludnić i zagospodarować nowe wielkie obszary, odzyskane po stuleciach obcego panowania.

Wystawa wrocławska budzić musi jednak i refleksje innego rodzaju. Stała się ona nowym narzędziem, przy którego pomocy obecny reżym komunistyczny próbuje utrwalić swe panowanie nad krajem. Wpleciono do niej niewybredną, wulgarną propagandę, zapisującą na rachunek reżymu jeśli nie całość, to lwią część wszystkich osiągnięć i zasług. W organizacji wystawy pominięto m. in. tendencyjnie wielką rolę, jaką przy tworzeniu się nowej społeczności polskiej na Ziemiach Odzyskanych odgrywa, wśród niezmiernie ciężkich warunków, duchowieństwo katolickie. Równocześnie zaś zorganizowano w okresie trwania wystawy „światowy zjazd intelektualistów", który jest nową dywersją, mającą na celu zamazywanie prawdziwego profilu rządów sowieckich w Europie Środkowej i Wschodniej.

Zabiegi te zamydlić mogą przejściowo oczy niektórym naiwnym czy uprzedzonym dziennikarzom i pisarzom zagranicznym, nie są jednak zdolne zatrzeć prawdy na stałe. Prawda ta zaś mówi, że odbudowa powojenna Polski oraz zaludnienie i zagospodarowanie Ziem Odzyskanych odbyłoby się dużo szybciej, sprawniej i lepiej pod konstytucyjnym, legalnym Rządem Polskim, opartym o wolę i zaufanie społeczeństwa. Mówi ona także, że pozytywne osiągnięcia ostatnich trzech lat są dziełem tego właśnie społeczeństwa, dziełem dokonanym w dużej mierze wbrew komunistycznemu reżymowi i jego polityce. Od samego początku propaganda komunistyczna stara się zohydzać okres dwudziestolecia niepodległości między Pierwszą a Drugą Wojną Światową; można tymczasem śmiało powiedzieć, że zagospodarowanie Ziem Odzyskanych byłoby niemożliwe bez tych zastępów działaczy gospodarczych, inżynierów, techników, architektów, urbanistów i specjalistów wszelkiego rodzaju, którzy wyrośli i wychowali się właśnie w okresie lat 1919—1939. Wojna i okupacja ogromnie przerzedziły ich szeregi, ale spora ich ilość mimo wszystko ocalała — przede wszystkim zaś przetrwała atmosfera pracy systematycznej i wytrwałej na modłę nowoczesną, ta atmosfera, która jest jedną z najcenniejszych zdobyczy przedwojennego dwudziestolecia.

PRZEWRÓT DEMOGRAFICZNY

Rewolucja demograficzna, która przekształciła oblicze Ziem Odzyskanych, rozpoczęła się jeszcze przed ostatecznym pogromem Niemiec. Według ostatniego przedwojennego spisu ludności z dnia 17 maja 1939 r. zaludnienie ziem tych wynosiło 8.382.000 osób, a wraz z ówczesnym W. M. Gdańskiem ok. 8.810.000. W dn. 1 lipca 1945 r., tj. w niecałe dwa miesiące po kapitulacji Niemiec, na tym samym obszarze znajdowało się — wedle przybliżonych obliczeń — 5.876.000 osób; reszta, to jest prawie trzy miliony, przeważnie zbiegła w głąb Rzeszy przed postępującymi wojskami sowieckimi, część zaś znalazła się wśród jeńców z rozbitego wojska niemieckiego, pobranych do niewoli przez wojska alianckie. Pierwszy po wojnie spis ludności, przeprowadzony w dn. 14 lutego 1946 r., dał jako cyfrę zaludnienia Ziem Odzyskanych 5.022.000.

Ze spisem tym zbiegł się początek nowego etapu w wysiedlaniu ludności niemieckiej — w myśl uchwał konferencji poczdamskiej oraz umów, zawartych z administracjami zony brytyjskiej i zo-

ny sowieckiej Niemiec. Powstałe w ten sposób luki wypełniała stopniowo ludność polska. W rezultacie ogólne zaludnienie Ziem Odzyskanych wynosiło:

15 września	1946	—	5.093.010
1 listopada	1946	—	5.186.000
1 stycznia	1947	—	5.028.000
31 lipca	1948	—ponad	5.500.000.

Stanowi to 62.5 procent, czyli więcej niż trzy piąte zaludnienia przedwojennego. Najpoważniejszy ubytek ludności, bo z górą o połowę, zaznaczył się w dawnych Prusach Wschodnich (tj. obecnym woj. olsztyńskim i trzech powiatach woj. białostockiego); wskutek tego niewielka już i przed wojną gęstość zaludnienia tych obszarów spadła do 20—23 osób na kilometr kwadratowy. Najmniejsze straty ludnościowe poniósł Śląsk Opolski dzięki zasiedziałym tam Polakom, stanowiącym i przed wojną większość ludności; gęstość zaludnienia wynosiła tam w r.1939 156 osób na km kw., obecnie zaś (stan z 1 stycznia 1947 r.) na tę samą przestrzeń przypadają 123 osoby. Pośrednie miejsca zajmują: dzisiejsze woj. szczecińskie, ta część woj. gdańskiego, która wykrojona została z Ziem Odzyskanych, Ziemia Lubuska (wchodząca dzisiaj w skład woj. poznańskiego) oraz Śląsk Dolny, czyli woj. wrocławskie; w tym ostatnim gęstość zaludnienia wynosiła przed wojną 124 osoby na km kw., obecnie wynosi 63,5.

Zmiany w gęstości zaludnienia wskazują zarazem w pewnym stopniu kierunki, w jakich szły główne fale osadnictwa polskiego. Kierunkami tymi były przede wszystkim zachodnia i południowa część Śląska Dolnego (gdzie osiedlali się głównie Polacy z Małopolski Wschodniej), Pomorze Zachodnie, Gdańsk i wreszcie Ziemia Lubuska (do której znów ciągną głównie Wielkopolanie). Siła atrakcyjna dawnych Prus Wschodnich jest, jak dotąd, mniejsza — stąd ich słabe stosunkowo zaludnienie, — ale mamy tu niewątpliwie do czynienia z objawem przejściowym, wywołanym w znacznej mierze polityką władz. Polaków z Ziemi Wileńskiej, poza Mazurami i Warmią, spotyka się gęsto w Gdańsku i jego okolicy.

Wzrost liczby Polaków od roku 1945 przedstawia się następująco:

1 lipca	1945	—	1.000.000
14 lutego	1946	—	2.929.000
1 stycznia	1947	—	4.584.000
31 lipca	1948	—	5.500.000.

Na liczbę tę składa się kilka kategorii ludności polskiej: autochtoni polscy, przybysze z Ziem Wschodnich (zwani w żargonie urzędowym „repatriantami“) wraz z tymi Polakami, którzy zdołali się wydostać z ZSSR, osadnicy z Polski środkowej i wreszcie repatrianci (tym razem prawdziwi) z Zachodu Europy, Bałkanów itd. W dn. 31 lipca 1948 r., skład ludności polskiej przedstawiał się mniej więcej następująco:

autochtoni polscy	— ponad	1.000.000*)
przybysze zza Bugu i Sanu	— ok.	2.000.000
osadnicy z Polski środkowej	— ok.	2.300.000
reemigranci z Zachodu itd.	— ok.	200.000.

Do kategorii przybyszów zza Bugu i Sanu oraz osadników z Polski środkowej wliczonych zostało prawdopodobnie 75.000 Żydów, osiedlonych głównie w rejonie Wałbrzycha.

Świeże osadnictwo stanowi więc ponad 80 procent ogólnego zaludnienia Ziem Odzyskanych. Osiedlenie w ciągu trzech lat ponad 4 milionów ludzi na nowych obszarach, w warunkach powojennego chaosu i zniszczenia, jest niewątpliwie osiągnięciem zdumiewającym i świadczącym o niezwykłej tężyźnie społeczeństwa polskiego. Dla porównania dodać należy, że w ciągu całego okresu wojny Niemcy rozmieścić zdołali na terenach zabranych Polsce niewiele ponad 650.000 ludzi.

Niemców na Ziemiach Odzyskanych było:

17 maja	1939	—	ok. 7.300.000
1 lipca	1945	—	4.776.000
14 lutego	1946	—	2.076.000
1 stycznia	1947	—	433.000.

W chwili obecnej — wedle statystyk urzędowych — Niemców na Ziemiach Odzyskanych, jak w ogóle w granicach Polski prawie już nie ma. Niedługo wyjechać mają ostatnie ich grupy.

WIEŚ I GOSPODARKA ROLNA

Ziemie Odzyskane są znacznie silniej zurbanizowane niż reszta Polski. W dn. 1 stycznia 1947 r. na ludność wiejską przypadało 2.702.000 osób, tj. 54 procent, na ludność miejską 2.326.000, tj. 46 procent.

Wieś pod wielu względami doznała większych jeszcze zniszczeń niż miasto. W maju 1945 r. zaminowanych było 3,5 miliona hektarów, tj. jedna trzecia całego obszaru; 123.793 zagród, tj. 27,5 procent ogólnej liczby, uległo zupełnemu zniszczeniu, reszta zaś przeważnie również znajdowała się w opłakanym stanie. Na Pomorzu Zachodnim oraz w Prusach Wschodnich zniszczonych zostało na wsi 65—70 procent wszystkich budynków. Tam zaś, gdzie same zabudowania ocalały, ich urządzenie wewnętrzne zrabowane zostało w większości wypadków przez żołnierzy sowieckich i różne elementy przestępcze („szabrowników“). Z inwentarza żywego ocalała tylko drobna część stanu przedwojennego. Z ogólnej liczby 860.000 koni w r. 1935, pozostało w r. 1945 tylko 230.000, a z ogólnej liczby 4.000.000 krów nie więcej niż 470.000. I tu znowu szczególnie dotknięte zostały Pomorze Zachodnie i Prusy Wschodnie. W całym woj. szczecińskim po objęciu go przez Polaków znajdowało się zaledwie 8.000 koni, a więc kilka procent ilości przedwojennej. Bardzo duża część żywego inwentarza zabrana została do Rosji.

Odbudowa wsi szła początkowo bardzo powoli, stopniowo jednak nabierała rozpędu. W r. 1945 odbudowano 533 budynki, w r. 1946 już 8.518, w r. 1947 — 108.000. Przeprowadzono duże prace nad odminowaniem i melioracją pól. Na 100.000 ha zalanych przez Niemców Żuław Gdańskich odwodniono w r. 1947 33.000 ha, a na rok bieżący przewidzianych jest dalszych 47.000 ha; całość prac zakończona by miała być według planu w r. 1949.

Z konieczności wolniej idzie uzupełnianie inwentarza żywego; koni w roku 1947 było 351.200, bydła 857.000, świń 866.300, owiec 174.800, kóz 248.000.

Brak jest dokładnych danych porównawczych, dotyczących stanu zasiewów teraz i przed wojną. Według cyfr oficjalnych w r. 1945/46 nowi osadnicy, wespół z autochtonami Polakami, obsiali łącznie 1.845.000 ha ziemi, a w roku następnym pod zasiew poszło już 2.800.000 ha. Siewy wiosenne r. 1948 objęły 2.200.000 ha. W niektórych dziedzinach osiągnięto poważne sukcesy. Tak np. w woj. szczecińskim pod burakami cukrowymi znajdowało się w roku 1937 13.000 ha, a w r. 1948 13.500 ha , pod rzepakiem w r. 1937 1.000 ha, a w roku 1948 12.000 ha; powierzchnia uprawy lnu skoczyła z 1.000 ha na 3.000 ha. W zakresie uprawy zbóż do osiągnięcia stanu przedwojennego jest jednak jeszcze dosyć daleko. Mimo to udział Ziem Odzyskanych w aprowizacji całego kraju jest już bardzo wydatny; w r. 1947/48 z górą 20% kalorycznej wartości dziennego spożycia na osobę w Polsce pochodziło z produkcji tych obszarów.

Ogólna powierzchnia ziemi użytkowanej rolniczo wynosi ok. 6 i pół miliona ha, tj. 31% użytkowanych rolniczo gruntów w całej Polsce. Ludności rolniczej na Ziemiach Odzyskanych jest dziś 2.160.000 (626.206 rodzin); mieszka ona na 562.323 gospodarstw samodzielnych, obejmujących 4.345.600 ha ziemi. Równocześnie w rękach przedsiębiorstwa pn. Państwowe Nieruchomości Ziemskie na Ziemiach Odzyskanych znajduje się przeszło 4.200 gospodarstw folwarcznych (tj. wielkiej własności ziemskiej) oraz znaczna ilość gospodarstw mniejszych — o łącznej powierzchni 1.869.592 ha. Państwowe Zakłady Hodowli Roślin obejmują 18.348 ha, a Państwowe Zakłady Chowu Koni 4.866 ha; razem więc wszystkie trzy wyżej wymienione przedsiębiorstwa administrują blisko dwoma milionami (dokładnie 1.892.806) hektarów ziemi. Gdy do tego dodamy grunty orne, znajdujące się pod administracją władz wojskowych sowieckich na potrzeby Armii Czerwonej, okaże się, że prawie jedna trzecia całej ziemi użytkowanej rolniczo pozostaje bezpośrednio pod władzą komunistycznej biurokracji.

Jednym z bogactw Ziem Odzyskanych są ich lasy (głównie sosnowe), które pokrywają 25% ogólnej powierzchni tych ziem i stanowią ok. 40% ogółu obszarów leśnych w całym kraju. Uległy one w czasie wojny stosunkowo znacznie mniejszym zniszczeniom, niż w Polsce środkowej i południowej. W znacznym za to stopniu zniszczone zostały urządzenia przemysłu drzewnego, które stopniowo są odbudowywane.

ZNISZCZENIE I ODBUDOWA MIAST

W miastach Ziem Odzyskanych odsetek zniszczonych przez wojnę budynków dochodził do 40%, podczas gdy w reszcie Polski stanowił ok. 25%. Niektóre miasta uległy zniszczeniu prawie zupełnemu; należą tu przede wszystkim: historyczny śląski Głogów (95% zniszczonych budynków), Kołobrzeg (80%), Brzeg (70%). Największe miasto Ziem Odzyskanych Wrocław obrócone zostało w gruzy w 65%, Szczecin w 50%, Legnica i Elbląg w 60%. W gruzy legło również całe przepiękne architektonicznie przedmieście Gdańska. Odbudowa miast idzie znacznie wolniej aniżeli odbudowa wsi. Odbudowywane są przede wszystkim budynki urzędowe i szkolne; gorzej znacznie jest z budownictwem mieszkaniowym.

Nic też dziwnego, że zaludnienie zniszczonych miast jest nadal znacznie niższe niż przed wojną. Wrocław według spisu z dn. 17 maja 1939 r. liczył

615.006 mieszkańców, obecnie ma ich ok. 275.000, mimo że odbudowano i odremontowano już 183.000 izb mieszkalnych. Zaludnienie Szczecina, wynoszące w roku 1939 268.915, obecnie dochodzi do połowy tej liczby. Postęp jest jednak stały.

Na ogólną długość 11.083 km linii kolejowych unieruchomionych zostało wskutek wojny 6.980 km; zniszczeniu uległo 40.900 metrów mostów (mających ponad 20 m rozpiętości), tj. 66% ogółu, oraz 76% budynków kolejowych. Zupełnemu zniszczeniu uległy warsztaty kolejowe. Większość tych szkód w zakresie komunikacji została już naprawiona.

WYDOBYCIE WĘGLA

Największym niewątpliwie osiągnięciem jest wysokość produkcji węgla kamiennego, brunatnego i koksu. Produkcja węgla kamiennego na Ziemiach Odzyskanych w porównaniu z okresem przedwojennym przedstawiała się następująco:

1938	—	31.290.000 ton
1945	—	7.988.627 „
1946	—	14.475.578 „
1947	—	19.419.621 „
1948	—	22.152.300 „

(planowana produkcja).

Wydobycie węgla kamiennego na Ziemiach Odzyskanych w r. 1947 stanowiło 32,8% ogólnej produkcji polskiej (w r. 1938 odnośna cyfra wynosiła 45,1%). Na r. 1948 przewiduje się osiągnięcie ponad 70% produkcji z r. 1938.

Rośnie również wydobycie węgla brunatnego i łupka wysoko ogniotrwałego, którego jedyne złoża polskie znajdują się w Nowej Rudzie na Śląsku. Szczególnie ważnym artykułem przemysłu węglowego jest węgiel dobrze koksujący, niezbędny do wytwarzania stali; poza Ziemiami Odzyskanymi Polska nie posiada go w ogóle. Produkcja koksu i półkoksu planowana była na r. 1948 w wysokości 1.928.900 ton wobec 3.375.000 ton w r. 1938.

PRODUKCJA PRZEMYSŁOWA

Odbudowa przemysłu nie idzie tak szybko, czemu ostatecznie trudno się dziwić, gdy się zważy, że zniszczenia wojenne w tym zakresie wynosiły 5 miliardów złotych przedwojennych, co stanowiło 39% ogólnej wartości urządzeń przemysłowych. Zniszczenia te powiększone jeszcze zostały przez rabunki sowieckie; wśród obiektów przemysłowych wywiezionych do Rosji znalazła się znana fabryka benzyny syntentycznej w Policach koło Szczecina, oraz duża ilość maszyn należących do przemysłu i hutnictwa śląskiego.

Ogólna liczba osób, zatrudnionych w przemyśle, górnictwie i hutnictwie Ziem Odzyskanych, wynosiła w połowie r. 1948 ok. 350.000, a wartość produkcji stanowiła 20% cyfry ogólnopolskiej. Dla poszczególnych przemysłów odsetek ten jest bardzo różny: od 17% w przemyśle chemicznym, 20% w hutniczym, 21% we włókienniczym, 24% w metalowym, poprzez szereg innych przemysłów aż po 48% w przemyśle mineralnym.

W przemyśle metalowym sporym osiągnięciem jest odbudowa i uruchomienie Państwowej Fabryki Wagonów we Wrocławiu (dawnej fabryki Linke-Hofmann); od 1 września 1945 do 1 kwietnia 1948 wyprodukowała ona 10.000 węglarek. Na niedaleką przyszłość przewidziane jest uruchomienie wielkiej fabryki ciężkich maszyn w Elblągu, oraz nowej ogromnej cementowni w Opolu, produkującej 400.000 ton.

Wzrost produkcji przemysłowej jest stały i wcale szybki: wartość wytwórczości dziesięciu najważniejszych przemysłów wzrosła od czerwca 1937 r. do kwietnia 1948 r. o 45%.

Brak jest cyfr dla robienia szczegółowych porównań z poziomem przedwojennym. W większości przemysłów osiągnięcie tego poziomu jest jeszcze rzeczą dość odległej przyszłości. Duże sukcesy wykazuje jednak pod tym względem hutnictwo: w r. 1935, a więc już w początkach wojennej koniunktury hitlerowskiej, wyprodukowano na Ziemiach Odzyskanych 175.165 ton surówki, a plan na r. 1948 przewiduje 255.000 ton, tj. o 45% wiecej. Stali wyprodukowano w r. 1935 390.818 ton, na r. 1948 przewidywanych jest 325.000 ton tj. 84% produkcji przedwojennej, a na r. 1949 — 450.000 ton. Wyrobów lanych wytworzono w r. 1935 24.229 ton, a na rb. przewidywanych jest 31.200 ton, czyli o 29% więcej. W r. 1935 zatrudnionych było w hutnictwie 11.283 osób, obecnie 17.183, czyli o 50,4% więcej. W niedługiej przyszłości przewidywane jest uruchomienie w okręgu gliwickim na Śląsku Opolskim nowej wielkiej huty, produkującej półtora miliona ton stali rocznie.

NOWE PORTY POLSKIE

Duże postępy poczyniła odbudowa portu szczecińskiego. W r. 1947 przeładował on 723.000 ton towaru; na r. 1949 przewidywane jest przekroczenie poziomu przedwojenego. Z 1.075.081 ton przeładowanego w maju 1948 r. we wszystkich portach polskich węgla na Szczecin przypadło 218.831. Mniejsze, niedawno uruchomione porty woj. szczecińskiego przeładowały węgla: Ustka (niem. Stolpmünde) — 44.993 ton, Kołobrzeg — 21.304 ton, Darłowo (niem. Rügenwalde) — 15.011 ton. Czynne są dwie stocznie w Gdańsku i jedna w Gdyni; częściowo uruchomione są warsztaty okrętowe w Szczecinie. Na okres 1947—1952 przewidziano w planie budowę 33 statków o tonażu ponad 125.000 ton BRT., a na stoczniach zagranicznych 6 statków o pojemności 25.700 ton. Wykonanie tego programu powiększyłoby w dwójnasób stan polskiej floty handlowej.

UZDROWISKA

Poważną rolę w życiu także gospodarczym odgrywają liczne na Ziemiach Odzyskanych i doskonale urządzone uzdrowiska, które uległy stosunkowo małym zniszczeniom wojennym i zostały już niemal w pełni uruchomione. Największą liczbę zdrojowisk, tj. miejscowości rozporządzających naturalnymi środkami leczniczymi (borowina, wody mineralne itd.), posiada Dolny Śląsk. Najważniejszymi z nich są: Polanica, Duszniki i Kudowa w pow. kłodzkim, oraz Szczawno (Solice) w pow. wałbrzyskim. W pow. jeleniogórskim znajduje się znana stacja klimatyczna Karpacz. Pomorze Zachodnie obfituje w letniska nadmorskie, z których najbardziej już od dawna znany jest zrujnowany przez ostatnią wojnę Kołobrzeg.

Wszystkimi tymi miejscowościami administruje przedsiębiorstwo państwowe pn. Polskie Uzdrowiska, które zawiera umowy z instytucjami zawodowymi, zakładami ubezpieczeń itd. o zapewnienie członkom tych instytucji, względnie osobom ubezpieczonym „wczasów pracowniczych“ w domach zdrowia, hotelach i pensjonatach tych miejscowości. Przy przydziałach tych w jaskrawy sposób faworyzowani są oczywiście komuniści i organizacje komunistyczne.

SZKOLNICTWO I NAUKA

Ciężki problem przedstawiała odbudowa szkół. 30% wszystkich budynków szkolnych uległo całkowitemu zniszczeniu, a 40% częściowemu. Mimo to w r. szkolnym 1947/48 czynnych już było 5.564 szkół powszechnych z 639.073 uczniami i 15.609 nauczycielami. Gimnazjów ogólnokształcących było 141 z 27.149 uczniami, a liceów 113 z 5.708 uczniami, szkół zawodowych różnego typu 371 z 41.899 uczniami. Czynnych jest sześć szkół wyższych z następującą liczbą studentów w r. akad. 1946/47:

Uniwersytet we Wrocławiu	— 5.064 stud.
Politechnika „ „	— 1.640 „
Politechnika Śląska w Gliwicach	— 2.686 „
Politechnika w Gdańsku	— 2.366 „
Akademia Lekarska w Gdańsku	— 623 „
Akademia Handlowa w Szczecinie	— 1.018 „

Uniwersytet we Wrocławiu, Politechnika Gdańska i Akademia Lekarska w Gdańsku powstały na miejscu dawnych wyższych uczelni niemieckich w tych miastach.

Z początkiem 1947 r. powstała nadto w Szczecinie Szkoła Inżynierska o trzech wydziałach. W Olsztynie czynna jest ekspozytura Wydziału Prawno-Ekonomicznego Uniwersytetu Toruńskiego.

W Gdańsku mieści się obecnie siedziba Instytutu Bałtyckiego; w Szczecinie istnieje placówka naukowa tego Instytutu. Instytut Śląski, którego główna siedziba znajduje się nadal w Katowicach, posiada oddziały we Wrocławiu i Kłodzku, oraz stację naukową w Cieplicach-Zdroju.

UCISK KOMUNISTYCZNY

W charakterystyce życia Ziem Odzyskanych trudno jednak pominąć jego ciemne strony.

Ucisk komunistycznego totalizmu ciąży nad ziemiami tymi silniej jeszcze niż nad resztą Polski. Od samego początku najlżejsze przejawy niezależnej opinii tłumione tam były w sposób jak najbardziej brutalny; wystarczy przypomnieć, że już w czerwcu 1946 r. wyniki tzw. referendum sfałszowane zostały najgruntowniej właśnie na Ziemiach Odzyskanych, a w „wyborach“ sejmowych, odbytych w kilka miesięcy później, nie dopuszczono tam w ogóle do wystawienia jakichkolwiek list poza listą rządową. Cała prasa od początku znajdowała się w rękach „Czytelnika“. Uzyskanie pracy w jakiejkolwiek instytucji czy zakładzie, a nawet zapisanie się na którąkolwiek z wyższych uczelni uzależnione jest z reguły od przynależności do PPR.

Zorganizowanie życia gospodarczego na tych spustoszonych terytoriach, przy zupełnej zmianie ich dotychczasowego składu ludności, możliwe było oczywiście tylko przy silnej ingerencji i kontroli państwa. Niemniej reżym wyzyskał tę sposobność, by w możliwie najszerszej

mierze przygotować wprowadzenie w gospodarce tych ziem pełnego systemu marksistowskiego. Tendencja ta wyziera wyraźnie z cyfr urzędowych. W produkcji przemysłowej całej Polski udział przemysłu prywatnego (są to oczywiście tylko drobne przedsiębiorstwa) wynosi 24,4%, na Ziemiach Odzyskanych tylko 13%. Jeśli chodzi o ilość przedsiębiorstw prywatnych, to odsetek ich na Ziemiach Odzyskanych w całym szeregu najważniejszych przemysłów jest w skali ogólnopolskiej wprost nikły (1,8% przedsiębiorstw elektrotechnicznych, 6,5% metalowych, 6,9% odzieżowych, 7,6% papierniczych, 8,3% drzewnych itd.).

Handel prywatny niszczony jest przez państwowe „Domy Towarowe“ w tempie jeszcze szybszym niż w reszcie Polski; spośród ogólnej ilości 66 tych domów w całej Polsce na Ziemiach Odzyskanych jest ich już 29, co stanowi blisko połowę. Zresztą według zapowiedzi wiceministra Szyra kupcy już w niedługim czasie zredukowani będą do roli sprzedawców komisowych, rozporządzających wyłącznie towarami dostarczonymi im przez państwo. Prawie jedna trzecia część całej ziemi ornej — jak wyżej już zaznaczyliśmy — znajduje się w rękach państwa, a władze wywierają na drobnych rolników szczególnie silny nacisk w kierunku tworzenia tzw. kooperatyw rolnych, które powszechnie uważane są za pierwsze stadium w procesie wprowadzania kołchozów na wzór sowiecki.

Bardzo duża część indywidualnych warsztatów rzemieślniczych, sklepów, domów i gospodarstw rolnych do tej pory znajduje się w rękach ich posiadaczy tylko tytułem nadania tymczasowego, dzierżawy itp. Niepokój i uzasadnione podejrzenia wywołuje fakt, że władze państwowe ciągle odwlekają uwłaszczenie ich posiadaczy. Nie trzeba podkreślać, jak paraliżująco musi to działać na prywatną inicjatywę i przedsiębiorczość.

KOMU ZIEMIE TE SĄ NIEZBĘDNE

Mimo to wszystko, dorobek pracy polskiej na Ziemiach Odzyskanych jest tak bogaty i niezaprzeczalny, że musi być wzięty najpoważniej pod uwagę przez wszystkie decydujące czynniki międzynarodowe, jeśli narodowi polskiemu nie ma być wyrządzona nowa potworna i niezasłużona krzywda. Nie ulega wątpliwości, że ziemie te pod każdym względem są bez porównania potrzebniejsze Polsce niż Niemcom. Rozpowszechnionej, niestety, w wielu kołach Zachodu legendzie, jakoby Ziemie Odzyskane stanowiły nieodzowny rezerwuar żywnościowy Rzeszy, przeczą zarówno cyfry przedwojenne, jak i nowe kalkulacje przeprowadzone w zonach zachodnich Niemiec. Cyfry także wykazują, jak niewielki stosunkowo był udział tych terytoriów w ogólnym dochodzie społecznym oraz w produkcji przemysłowej i górniczej Rzeszy Niemieckiej. Procentowo udział ten, według ostatnich statystyk przedwojennych, przedstawiał się następująco:

dochód społeczny	10,8%
wartość produkcji górniczej . .	12,0%
wartość produkcji przemysłowej	7,0%
wydobycie węgla (kamiennego i brunatnego)	13,6%
zasoby złóż węgla kamiennego .	6,5%
zasoby złóż węgla brunatnego .	2,3%
produkcja energii elektrycznej .	7,0%
liczba sił roboczych w przemyśle i rzemiośle	9,0%

Gdy uwzględnimy jeszcze stały odpływ ludności z przedwojennego „niemieckiego wschodu“ na zachód oraz wartość, jaką granica na Odrze i Nisie Łużyckiej przedstawia dla całego regionu środkowo-europejskiego, odpowiedź na postawione wyżej pytanie stanie się całkiem jasna.

**) Liczba Polaków, zamieszkujących Ziemie Odzyskane w r. 1939, oceniana jest przez czynniki krajowe na 1.482.000. Obecnie jest ich na tych ziemiach, jak wynika z tabelki powyższej, nieco ponad milion; ok. 300.000 ma się nadal znajdować na obczyźnie (prawdopodobnie głównie w Rosji w charakterze deportowanych i jeńców wojennych), a reszta wyginęła na wojnie.*

TADEUSZ PISZCZKOWSKI

NACJONALIZM PRZECIWKO IMPERIALIZMOWI W JUGOSŁAWII

ZDUMIEWAJĄCE wypadki zaszłe w Jugosławii w ciągu ostatnich kilku tygodni, posłużą może staremu bajczarzowi, Churchillowi, do jeszcze jednego „skromnego“ wyznania, że wszystko przewidział, stawiając w 1944 r. na kartę Josipa Brosa-Tito. Tymczasem pobieżna nawet analiza faktów, jakie dokonały się od r. 1944 wyraźnie wskazuje, że brytyjski mąż stanu się pomylił i w tym wypadku, jak zresztą przyznał się potem kiedyś, przemawiając w Brukseli i mówiąc, że afera z Tito była jego największym błędem w czasie wojny. Prawdą jest bowiem, że Churchill udzielając poparcia Tito i pozostawiając własnemu tragicznemu losowi Michajłowicza, miał nadzieję, że wybierając bardziej przedsiębiorczego i szczęśliwego przewódcę, potrafi go bez względu na jego przeszłość komunistyczną zjednać dla polityki brytyjskiej, odciągając go spod skrzydeł opiekuńczych obecnych protektorów sowieckich. Takie plany snuli politycy brytyjscy na wiosnę oraz w lecie 1944 r., kiedy Tito dzięki pomocy brytyjskiej podjął swoją energiczną ofensywę w Bośni, oraz później, kiedy po jej niepowodzeniu chorwacki kondotier schronił się do brytyjskiej bazy na wyspie Vis. Tylko, że Tito w pewnym momencie chyłkiem uleciał z tej gościnnej wyspy na specjalnie nadesłanym mu samolocie sowieckim — do Moskwy, i odtąd już aż do bardzo niedawnych czasów, był wiernym satelitą Rosji.

Ważną jest jednak rzeczą nie tyle okoliczność, że politycy brytyjscy dali się „wystrychnąć na dudków“ przez Brosa-Tito, ile fakt, że cała polityka brytyjska wobec Moskwy oparta została w owym czasie na błędnych założeniach — i że bankructwo tej polityki pozostanie druzgocącym dokumentem popełnionych błędów, nawet gdyby marszałek Tito, dzięki fantastycznemu obrotowi wypadków, miał się stać z sojusznika i wasala, wrogiem Moskwy.

Times z dnia 13 października 1944 r. ogłosił w związku ze znaną wizytą Churchilla w Moskwie, następujący komentarz na temat spraw bałkańskich (pt. *The Balkan outlook)*, stanowiący wyraz „mądrości“ londyńskich polityków:

> „Zakładanie, że interesy brytyjskie i rosyjskie na Bałkanach byłyby diametralnie sprzeczne i że wszelki wzrost pozycji jednego mocarstwa oznaczałby jednoczesne osłabienie pozycji drugiego, nigdy nie miało oparcia faktycznego, a obecnie musi być uznane jako zupełnie nieaktualne. Głównym interesem Wielkiej Brytanii jest w tym rejonie bezpieczeństwo naszych dróg komunikacyjnych we wschodniej części Morza Śródziemnego, w ogóle na Środkowym Wschodzie, co oznacza istnienie przyjaznej Grecji i Turcji wraz ze spokojnym hinterlandem. Naczelnym interesem Sowietów jest bezpieczeństwo ich własnych granic, które chciałyby one w sposób całkowicie słuszny zapewnić sobie, wprowadzając Rumunię i Bułgarię, a być może także Węgry i Jugosławię, do sowieckiego systemu bezpieczeństwa. Nie ma nic nierozsądnego w takiej polityce, i na pewno nic, co mogłoby budzić zaniepokojenie, bądź w tym kraju, bądź w Stanach Zjednoczonych, lub w krajach bardziej bezpośrednio zainteresowanych. Wszelkie obawy, że Związek Sowiecki mógłby żywić agresywne intencje w tym rejonie, powinny zniknąć wobec deklaracji p. Mołotowa w sprawie Rumunii z ubiegłego czerwca, warunków rozejmu z Rumunią oraz faktu, że w ciągu ostatnich stu lat polityka Rosji na Bałkanach była raczej negatywna niż pozytywna w tym, że głównym jej celem było przeszkodzenie, aby obszar ten nie dostał się pod panowanie żadnego innego potencjalnie wrogiego wielkiego mocarstwa“.

Dzisiaj w świetle późniejszych wypadków widzimy całą błędność tego rozumowania, nawet tam, gdzie przezierała z niego nie tyle naiwność, ile cynizm. Rosja nie dotrzymała warunków, rozgraniczających „strefy interesów“, bo wbrew tezie *Timesa* wzrost wpływów i potęgi jednego mocarstwa, musi być połączony z osłabieniem drugiego.

Od krytycznego dla Europy Środkowo-Wschodniej roku 1944, wszystkie kraje bałkańskie z wyjątkiem Grecji, zostały poddane kontroli sowieckiej, która nie tylko ograniczyła ich zewnętrzną samoistność, ale sięgnęła głęboko do ich struktury wewnętrznej. Sowieccy protektorzy zrazu tolerowali reżymy pośrednie, w których komuniści byli tylko uczestnikami władzy i w których pozory demo-

kracji przeznaczone były dla konsumcji zewnętrznej. Później stopniowo władza dostawała się w wyłączne ręce komunistów, którzy władzę tę wykorzystywali celem wprowadzenia przemian socjalnych, odpowiadających ideologii marksistowskiej. W ten sposób obok zewnętrznej zawisłości od Rosji Sowieckiej, narastała również i wewnętrzna treść, upodabniająca te kraje do moskiewskiego prototypu. W miarę tych ewolucji likwidowane były elementy oporu, to wszystko co łączyło podbite kraje z przeszłością i z Zachodem. Zlikwidowane zostały partie mieszczańskie, chłopskie dawnego wzoru, ograniczono wpływy kościołów, zmieciono wszelkie formy interesów kapitalistycznych, wielkich lub średnich.

Te osiągnięcia polityki sowieckiej na Bałkanach powinny przynieść w rezultacie to, co jest jej ostatecznym celem: ich wchłonięcie przez Związek Sowiecki. Partie komunistyczne, rządzące tam dzisiaj niepodzielnie powinny — zdawałoby się — marzyć o tym celu i w miarę możności przyśpieszać jego realizację. Z usunięciem dawnych partii i dawnych wpływów, cóż mogłoby stać na przeszkodzie tej logicznej konsekwencji kapitulacji polityki anglosaskiej wobec Rosji w latach 1944—45?

Sprawa Tito oraz potępienia jego i jugosłowiańskiej partii komunistycznej przez Kominform dowodzi, że nie wszystkie przeszkody zostały złamane. Mogły zostać wyplenione stare porządki i stare orientacje, dusza narodu pozostała jednak dotąd niezmieniona. Nacjonalizm jugosłowiański okazał się w jugosłowiańskiej partii komunistycznej silniejszy, aniżeli jej posłuszeństwo wobec Kremla.

Nie jest to przy tym wypadek odosobniony. Na mniejszą bowiem skalę miały miejsce „schizmy" w partiach komunistycznych w Rumunii, Bułgarii i na Węgrzech. W Rumunii zostali usunięci dotychczasowi przewódcy partii komunistycznej Patrascanu i Georgiu Dej za to, że nie wyzbyli się jeszcze swej mentalności „burżuazyjnej". W Bułgarii w niełaskę poszła dotychczasowa sekretarka generalna partii komunistycznej Tsola Dragoiczewa, ponieważ ośmieliła się krytykować zbyt drastyczne posunięcia administracji komunistycznej w stosunku do ludności chłopskiej. Surowa czystka dotknęła także górę partyjną na Węgrzech. W krajach tych jednak, które są wciąż okupowane przez wojska sowieckie. jako b. kraje nieprzyjacielskie, presja Rosji jest szczególnie silna, a ich partie komunistyczne są po prostu dyrygowane przez ambasady sowieckie.

Inaczej w Jugosławii. Tutaj brak było od samego oswobodzenia kraju znaczniejszych garnizonów sowieckich, zresztą większa część kraju została uwolniona przez partyzantów Tito. Dodajmy wreszcie, że partia komunistyczna w Jugosławii wyrosła w znacznej mierze na skutek przypadkowych warunków wojennych, i w dużym stopniu spośród elementów oporu przeciw okupantom. Przy tym patriotyzm jugosłowiański był tutaj zawsze czynnikiem mocno akcentowanym, odmiennie niż w Rumunii, Bułgarii lub na Węgrzech, gdzie komunizm był właśnie reakcją przeciwko kierunkom i aspiracjom narodowym.

Trzeba przyznać, że Tito potrafił wcześnie, bo jeszcze na jesieni 1943 r., wypracować w sposób zręczny program polityczny dla Jugosławii, rozwiązujący te problemy, z którymi poprzedni reżym przedwojenny, oraz rząd jugosłowiański na emigracji nie umiały sobie poradzić. W miejsce koncepcji państwowej wielkoserbskiej, od której rządy dawniejsze nie umiały się oderwać, a która raniła zwłaszcza uczucia Chorwatów, Tito wystąpił z jedynie rozsądnym i słusznym federalizmem, na platformie którego umiał nie tylko pogodzić wewnętrzne konflikty, ale uczynił z siebie chorążego szerszej idei, federacji bałkańskiej. W istocie rzeczy „armie" partyzanckie Tito składały się z band rekrutowanych nie tylko wśród ludności Jugosławii, ale zawierały osobne oddziały albańskie, bułgarskie, itd. Kiedy Tito ostatecznie zdobył władzę w Jugosławii i stał się po kapitulacji Niemiec jej dyktatorem, dał on początek *sui generis* imperializmowi jugosłowiańskiemu, podniecając wszelkie rewindykacje i aspiracje Jugosławii w jej zewnętrznej polityce: pretensje do Włoch o Istrię i o Triest, do Austrii o Karyntię, do Grecji o Saloniki, do Bułgarii o Piryn. W swoich intymnych zamysłach wydaje się, że szedł on nawet jeszcze dalej, zmierzając do utworzenia na Półwyspie Bałkańskim wielkiego państwa południowo-słowiańskiego, czyli większej Jugosławii. Idea bowiem federacji bałkańskiej, której Tito jest zdecydowanym zwolennikiem, w dzisiejszych warunkach musiałaby oznaczać supremację na Bałkanach Jugosławii.

Taka polityka jugosłowiańskiego imperializmu nie może nie przemawiać do wyobraźni patriotycznego i dumnego narodu, nawet do jego grup narodowych i społecznych najbardziej niezadowolonych z nowego reżymu. Twarde rządy dyktatury mogą być dotkliwe, ale dyktatura i metody przymusu i gwałtu nie są nowością ani w Jugosławii, ani w ogóle na Bałkanach. Zaś polityka socjalna reżymu, wszystkie jego antykapitalistyczne pomysły, są tak długo dla mas jugosłowiańskich obojętne, jak długo nie dotykają one sytuacji najliczniejszej warstwy, chłopskiej. O ile zaś chodzi o chłopów, reżym Tito, jak dotąd wystrzegał się zamachów na ich własność rolną, jako taką.

Trudno jest w tej chwili ustalić, co było bezpośrednią przyczyną obecnego zatargu pomiędzy Kominformem i Kremlem, a Tito. Szukanie wytłumaczenia w zbyt mało ortodoksyjnym stanowisku Tito wobec zagadnienia socjalnego urządzenia Jugosławii zgodnie z doktryną komunistyczną, a co oskarżał go Kominform, nie wytrzymuje krytyki, ponieważ w Jugosławii „sowietyzacja" wewnętrznego życia społeczeństwa poszła niewątpliwie dalej niż w Czechosłowacji i w Polsce, gdzie jednakże tamtejsi przewódcy komunistyczni nie narazili się na podobne niezadowolenie Moskwy. Chcieć zaś obecny konflikt tłumaczyć jakąś „schizmą" wewnątrz obozu komunistycznego, lub tylko niesubordynacją jednego z niższych członków partyjnych wobec jego przełożeństwa, jest w pierwszym wypadku zbytecznym komplikowaniem zagadnienia, a w drugim jego nadmiernym uproszczeniem. Bo ta „niesubordynacja" ma swoje podstawy nie personalne, czy organizacyjne, ale organiczne. Oskarżenia Kominformu i Moskwy zwrócone są wprawdzie personalnie przeciwko kierownikom jugosłowiańskiej partii komunistycznej, a nie Jugosławii, ale to nie ma żadnego znaczenia. Tito i jego współpracownicy popadli w niełaskę, ponieważ ich koncepcja Jugosławii nie da się pogodzić z dążeniami Sowietów. Imperializm sowiecki napotkał w okresie pogłębiającego się kryzysu międzynarodowego na niebezpieczne objawy *komunistycznego nacjonalizmu* w Jugosławii. Jego tolerowanie mogłoby doprowadzić do wytworzenia się na Bałkanach sytuacji, w której kierownicza dyspozycja Moskwy byłaby w tak ważnym dla niej geograficznie obszarze skazana na *współpracę* z potężnym pośrednikiem tej władzy w Belgradzie. Imperializm sowiecki zarówno w swojej polityce wewnętrznej, jak zewnętrznej nie dopuszcza pojęcia współpracy — zna tylko ślepe *podporządkowanie*.

Deklaracja Kominformu z dn. 29 czerwca br., która w tak sensacyjny sposób odsłoniła światu konflikt od wewnątrz żelaznej kurtyny, wysuwała, obok zarzutu oportunizmu wobec „kułaków", na wsi, dość ogólnikowe zarzuty, jak rzekomego prowadzenia „nieprzyjaznej polityki w stosunku do Związku Sowieckiego i Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej", oszczerczej kampanii przeciwko nim itp. Natomiast późniejsza propaganda Moskwy i jej salelitów szczególnie mocno atakowała rzekome aspiracje federacyjne Tito, objawiane wobec bałkańskich sąsiadów. Pamiętać należy, że w styczniu br. skarcony został przez Moskwę bułgarski dyktator, Dymitrow, za swoje sympatie na rzecz idei federacji bałkańskiej. Jest to idea, w której rozwoju międzynarodowy komunizm odegrał znaczną rolę (poczęła się ona wśród kół bałkańskiej emigracji komunistycznej w Wiedniu w latach dwudziestych), nie była ona jednak nigdy wyrazem oficjalnej polityki Moskwy, i jak obecnie już widać nie leży ona wcale na linii tej polityki. Dążeniem bowiem Rosji jest istnienie w jej orbicie możliwie licznych, odrębnych republik komunistycznych, których jedyną centralą byłby Kreml.

Niektórzy komentatorzy kryzysu jugosłowiańskiego wskazują na sprawę Macedonii, jako na prawdopodobny powód zatargu pomiędzy Moskwą a Jugosławią. Sprawa ta ma istotnie kapitalne znaczenie dla układu sił na Bałkanach. Jak wiemy, była ona zawsze osią konfliktu pomiędzy Jugosławią a Bułgarią: pozyskanie na stałe obszaru macedońskiego przez jedną lub przez drugą, oznaczało w praktyce supremację na półwyspie. Tito potrafił ugłaskać niesfornych Macedończyków autonomią, jaką zna-

leźli oni w nowej „republice“ macedońskiej w ramach państwa jugosłowiańskiego; w przyszłości zaś pragną oni rozszerzyć obszar republiki kosztem macedońskich obszarów Grecji i Bułgarii. Zarówno Bułgaria jak i Moskwa sprzyjają idei „wielkiej“ Macedonii, ale nie jako części składowej Jugosławii, lecz jako osobnego państwa komunistycznego. Powstanie takiej Macedonii niewiele kosztowałoby Bułgarię, która posiada obecnie tylko mały skrawek spornego obszaru (Piryn), natomiast byłoby ono połączone ze znacznym osłabieniem Jugosławii i Grecji. Jeżeli takie są naprawdę kulisy zatargu, nic dziwnego, że wzbudziły one opór wśród przewódców obecnej Jugosławii, bez względu na ich komunistyczną barwę.

Zatarg ma miejsce na wewnątrz wschodniego bloku, na tle zagadnień, które nie posiadają zasadniczo związku z konfliktem międzynarodowym. Ale już samo powstanie rysy na dotychczasowym „monolicie“ bloku wschodniego, jak i ujawnienie narastających przeciwieństw pomiędzy interesami krajów satelickich Moskwy oraz jej własną polityką, posiada dla tego obszerniejszego konfliktu jak największe znaczenie. Tito nie stał się jeszcze wcale sojusznikiem Zachodu, pomimo że pomoc amerykańska bardzo by się mogła przydać Jugosławii. Nie ulega też wątpliwości, że jest on szczerym komunistą. Ale fakt, że Tito reprezentuje ideę samodzielności narodowej wobec totalnego imperializmu sowieckiego, stawia go pośrednio w rzędzie partnerów dla tych wszystkich, którzy głównego wroga upatrują w tym imperializmie.

TADEUSZ ZGAIŃSKI

TRAGEDIA MARKSIZMU

ŚWIAT naukowy już dawno odrzucił tezy marksizmu, jako nieodpowiadające zasadom i badaniom naukowym.

W kołach ruchów politycznych, które tezy marksizmu przyjęły za podstawę swojej ideologii, oczywiście tezy te żyją nadal, przeżywszy o dziesiątki lat ich istotny dla kultury ludzkiej żywot naukowy. Jest to zrozumiałe skoro opierają się one nie na sile dowodów naukowych, lecz na sile fizycznej, lub co najmniej na bałamuctwie przewódców politycznych.

Poglądy Marksa czy Engelsa podaje się dlatego w bardzo płytkiej formie cytat i wersetów z dzieł proroków, nie odważając się na ich głębsze komentowanie i naukową konfrontację.

To wystarczało oczywiście tak długo, dopóki marksiści prowadzili tylko walkę negatywną w celu zburzenia instytucji istniejących — burżuazyjnych, kapitalistycznych czy faszystowskich. Masa, tłum nie wymagają naukowości — wystarczą im dialektyka i demagogia.

Jednak zupełnie odmienne są warunki, z jakimi się spotyka i z konieczności spotkać się musi marksizm politycznie zwycięski. Jako systemat zwycięski musi on opanować nie tylko ludzi prostych, ale także świat naukowy i wprzągnąć go w swój rydwan. I z tą chwilą zaczyna się dla niego tragedia. To, co dotąd było tabu i wystarczające, teraz podlegając ciśnieniu ludzi, którzy by się być może w innych warunkach nigdy marksizmem nie zajmowali, nie może sprostać. Nieraz widzieliśmy próby reformowania marksizmu ortodoksyjnego — lecz kończyły się one zawsze żałośnie dla ich autorów-kacerzy. Jednak całkowite zamknięcie się na poziomie z końca ubiegłego stulecia jest niemożliwe, gdy się jest zwycięzcą, gdy się zamiast negacji ma budować świat pozytywnie i gdy się z marksizmu musi zrobić fundament przyjęty przez świat nauki i uniwersytety. Tę tragedię, powiedziałbym intelektualistyczną, przechodzi marksizm również i obecnie w Polsce, tragedię, która do naszych marksistów emigracyjnych stojących z dala od tych konieczności, oczywiście nie dociera.

W wyniku tej konfrontacji dochodzi się w Polsce do publicznego stwierdzenia w naukowych czasopismach, że marksizm wymaga poprawek i unowocześnienia, gdyż rozwój ekonomiczny świata poszedł w odmiennym kierunku, niż to ojcowie marksizmu zapowiadali; że np. nie ziściło się zapowiadane w *Manifeście komunistycznym* prawo zmniejszającej się płacy robotniczej i wzrastającego wysiłku; że również nie nastąpiła polaryzacja w przekształcaniu się klas społecznych (tj. proces zaniku klas pośrednich); że nie sprawdziły się przewidywania Marksa, iż ludy słowiańskie z wyjątkiem Polaków i Rosjan nie mają przyszłości przed sobą, czemu przeczy powstanie i rosnące znaczenie Czechosłowacji i Jugosławii.

Spostrzega się teraz słabości naukowe maksizmu, a więc, „że wiele pojęć czeka od czasów Engelsa na sprecyzowanie“, że „koncepcja współistnienia przeciwieństw jest zbitką pojęciową, która powinna być poddana analizie logicznej“. Odnosi się to również do „niektórych tez i pojęć socjologicznych“, jak np. do zwrotu, stanowiącego dotąd nienaruszalne tabu, że „*w ostatniej instancji* toruje sobie konieczność ekonomiczna zawsze drogę“. Dochodzi się wreszcie do ogólnego stwierdzenia, że „w zmienionych warunkach dawne pojęcia przestają być użyteczne lub adekwatne“, otwierając szeroko wrota do generalnej rozbiórki.

Jako pierwsze na stół secesyjny idzie pojęcie *produkcji* i związane z nim pojęcie *potrzeb ludzkich*, tak podstawowe dla doktryny Marksa; zmieniły one swoją treść na skutek przemian społecznych, technicznych i ekonomicznych od czasu, kiedy robotnik pracował 13 lub 14 godzin na dobę po to, aby się tylko utrzymać na poziomie wegetacji biologicznej, gdy obecnie przecież produkcja dóbr dla zaspokojenia już kulturalnych potrzeb mas zajmuje wcale poczesne miejsce w całokształcie produkcji; gdy wreszcie pojęcia te co najmniej komplikuje dzisiejsza produkcja narzędzi niszczenia, tzw. przez Marksa „przemysłu uboju ludzi“ (list do Engelsa z 7. 7. 1866), gdyż państwa marksistowskie prowadzą ją w co najmniej równym stopniu jak państwa kapitalistyczne. Nie lepiej jest wreszcie z podstawowym pojęciem *klasy społecznej*, które „wymaga nowego naświetlenia i wysuwa nowe zagadnienia na gruncie nowej rzeczywistości społecznej, na gruncie planowej gospodarki i nowych form ustrojowych“.

Dlatego dla ratowania sytuacji domagają się „prawdziwi marksiści“ „systematycznego opracowania strony pojęciowej w doktrynie Marksa, ...co pozwoliłoby usunąć kilka podstawowych a groźnych niekiedy nieporozumień“. „Do takich nieporozumień np. należy sprawa „psychologizmu“ zwalczanego przez pisarzy obozu marksistowskiego w polskiej prasie powojennej... chociaż nikt z pisarzy... nie pokusił się o sprecyzowanie, z czym się dokładnie walczy.“ Stanisław Ossowski w miesięczniku naukowym *Myśl Współczesna*, Warszawa — styczeń 1948 r., od którego te zwroty w cudzysłowach i te rozpaczliwe wysiłki dopomożenia stanięcia jeszcze nauce marksistowskiej na nogi pochodzą, nazywa stan obecny w łonie marksizmu „tendencją do utrzymania nauk społecznych na tym stadium, na którym fizyka stała w czasach przedgalileuszowych“. „Kolizje te... nie mogą być rozstrzygane na sposób dyletancki. Przy udziale specjalistów (O tak, i to nie byle jakich — uwaga moja) należy rozważyć te wszystkie zagadnienia w doktrynie Marksa, które wskutek rozwoju *nauki* przedstawiają się dzisiaj inaczej niż w XIX wieku.“

Ta zadziwiająca szczerość samych marksistów stwierdza całkowitą bezwartościowość naukową i bankructwo teorii Marksa-Engelsa, skoro nie zdołała ona przetrwać jednego nawet okresu ewolucji socjalno-ekonomicznej. Rozbiórkę systemu prowadzi się dalej w szczegółach.

A więc należy „unowocześnić marksizm“ przez przyjęcie pewnych zdobyczy *etnologii*. Zaleca się dlatego odrzucenie morganowskiego dziewiętnastowiecznego naturalizmu w poglądach na ewolucję społeczeństw ludzkich, według którego każde społeczeństwo ludzkie musi przechodzić kolejne stadia rozwoju w określonym z góry przez naturę porządku, — i przyjąć znacznie bardziej skomplikowaną ewolucję na platformie zdobyczy nowoczesnej etnologii. A więc zamiast dotychczasowego determinizmu marksistowskiego — różnorodność dróg rozwoju społecznego kształtowana różnorodnością warunków nie tylko ekonomicznych lecz wszystkich czynników przyjętych przez etnologię, a więc biologicznych, psychologicznych, kulturowych, oddziaływań międzygrupowych itp. Przyjęcie i uznanie szerokich badań etnologii otwiera przed nowym marksistą możliwości uznania nawet czynników kształtowania społeczności narodowych.

Pod naciskiem nowych zdobyczy socjologii (Durkheima) dopuszcza się obecnie również czynniki *irracjonalne* w kształtowaniu się grupy społecznej i w działaniach masowych, dotąd z taką pogardą przez marksistów rasowych odrzucane.

Wyżej cytowany Stanisław Ossowski, jeden z przodujących w obecnej rzeczywistości polskiej tzw. prawdziwych marksistów, jak się sam nazywa, stwierdza w zakończeniu swoich niewesołych dla oceny marksizmu rozważań, że „koncepcje społeczno-gospodarcze z epoki lokomotyw Stevensona i lampy naftowej" nie mogą przecież przetrwać niezmiennie do naszych czasów i że wymagają dlatego korektury systemu przez uwzględnienie:

a) przeobrażeń spowodowanych na *taktykę* kierowniczych sfer burżuazji przez samą doktrynę Marksa, czego Marks nie mógł przewidzieć rzekomo;

b) faktu zanikania w państwach kapitalistycznych gospodarki wolnej konkurencji na rzecz wzrastającej interwencji państwa;

c) rozwoju związków zawodowych, ustawodawstwa robotniczego i opieki społecznej;

d) współpracy ZSRR z państwami kapitalistycznymi, wynikiem czego była już stalinowska korektura dotycząca możliwości istnienia socjalizmu tylko w jednym państwie;

e) faktu posuwania się państw kapitalistycznych ku socjalizmowi drogą ewolucji a nie na drodze dialektycznych przeciwieństw, a więc pojawienie się nowych wzorów rozwoju nieprzewidzianych przez marksizm;

f) tempa rozwoju techniki, która otwiera możliwości zupełnego przekształcenia warunków życia społecznego (a zatem i zakończenia tragedii proletariusza — moja uwaga);

g) rozwoju planowej gospodarki, która wyłącza zupełnie walkę klas, uzależniając układanie się stosunków między klasami od czynników planujących;

h) olbrzymie spotęgowanie skutków decyzji jednostki czy malej grupy, niewspółmierne do ich grupowego znaczenia;

i) faktu szerokiej demokratyzacji kultury.

Nie jest to bynajmniej pełna lista przeobrażeń, które trzeba by według zdania samych marksistów uwzględnić chcąc unowocześnić system marksistowski. Wystarczy ona jednak całkowicie, aby zauważyć, że został on raczej przez przemiany życia i przez zdobycze nauki w ciągu pół wieku zdezawuowany, że jednym słowem nie zdał egzaminu. Rozpaczliwe wysiłki „prawdziwych marksistów", aby w niego tchnąć nowe życie i podnieść jeszcze do poziomu naukowego, czynią naprawdę pożałowania godne wrażenie przez swoją beznadziejność. Jak bowiem już z tego krótkiego przeglądu widać, to same *zasady* są fałszywe, i one zostały przez życie i zdobycze naukowe odrzucone, a nie tylko wnioski i przewidywania z nich wyprowadzone. Dostosowując zaś do faktycznego przebiegu historycznego i korygując odpowiednio do nich zasady, np. determinizmu gospodarczego, podziału na klasy, naturalizmu itp., odrzuca się samą istotę marksizmu. Można to, co się zostanie albo do czego się dojdzie, dalej nazywać marksizmem, jednak ono już nim faktycznie nie będzie. I w tym leży tragedia marksizmu, że marksiści sami są zmuszeni wziąć go pod „szkiełko nauki" i zadać mu własnymi rękami śmiertelny cios. Tylko płytki marksista może nadal spać spokojnie.

WIT TARNAWSKI

ZBIEŻNOŚCI DRAMATYCZNEGO WĄTKU

Że głęboko oryginalny talent Wyspiańskiego znajdował się pod urokiem i wpływem twórczości Słowackiego, jest rzeczą znaną. Wspomnijmy choćby przejęcie koncepcji *Króla Ducha* przez autora *Kazimierza Wielkiego*. Wyspiański rozwijał zresztą pomysły Słowackiego ze świadomego wyboru i może należałoby nazwać to po prostu pokrewieństwem duchowym obu poetów.

W związku z artykułem Pietrkiewicza o oryginalności *Wesela* drukowanym w czerwcowym numerze *Myśli Polskiej*, przyszło mi na myśl, że w wątku *Wesela* dadzą się również uchwycić wyraźne związania ze Słowackim — a nie natknąłem się dotąd na omówienie tych analogii w polskiej literaturze krytycznej. Jeżeli to się już stało — będę wdzięczny za wskazanie źródła. O jednym szczególe — rodowodzie pomysłu Wernyhory — wspomniał Pietrkiewicz, tu natomiast pragnę zwrócić uwagę na analogie ideowe między *Weselem* a *Lillą Wenedą*.

Już z zewnętrznego podobieństwa *złoty* róg Wernyhory — magiczny budziciel czynu, co sam z siebie nie potrafi się poderwać — jest odpowiednikiem *złotej* harfy króla Derwida, bez której głosu lud Wenedów nie umie podjąć zwycięskiej walki. Tak samo nastrój biernego i tęsknego oczekiwania na budzące hasło, wspólny jest obu utworom.

Ale widome te symbole wyrażają tylko głębsze i bardziej zasadnicze podobieństwo idei; ukazują one, że w *Lilli Wenedzie* i *Weselu* chodzi w istocie o tę samą sprawę. Nic to dziwnego, gdy oba utwory usiłują dać syntezę polskiej narodowej duszy.

Dysproporcja pomiędzy wielkim potencjałem uczuciowym a niezdolnością czy nieumiejętnością wcielenia go w czyn jest zjawiskiem znamiennym dla polskiej psychiki i zagadką, która trapi zarówno Słowackiego, gdy w *Lilli Wenedzie* szuka rozwiązania dramatu powstania listopadowego, jak i Wyspiańskiego, gdy przeprowadza swoją wiwisekcję duszy polskiej na przełomie dwudziestego stulecia. „Tak się w każdym z nas coś burzy — duch się w każdym poniewiera", — a rezultat tego znikomy lub opaczny. Wszystko bowiem albo wypala się i rozkłada, czekając biernie na jakieś zewnętrzne hasło — na głos złotej harfy czy rogu, albo wyładowuje się nagle w krótkich, nieprzemyślanych, często bezsensownych spięciach, w reakcjach nieokiełzanego temperamentu narodowego. Słowacki usiłował tę dramatyczną istotę duszy polskiej wyrazić za pomocą rozdwojenia początków narodu polskiego na wzniosły, lecz dziwnie bierny, lud Wenedów i na odruchowych, porywczych, rubasznych Lechitów. W *Weselu*, natomiast — może po prostu przez podobieństwo samej istoty zagadnienia — przypomina skazanych na śmierć Wenedów inteligencja miejska nosząca się wśród swoich nastrojów, górnych i bezpłodnych, Lechitów zaś lud krakowski, krewki, pochopny do czynu, lecz niezdolny jeszcze do przeprowadzenia go w całej rozciągłości.

Może jest to dla każdego oczywiste — ale chciałbym zaznaczyć dla uniknięcia nieporozumień, że istnieje ścisła łączność między naszym niezdecydowaniem, czy niemocą psychiczną, a naszą porywczością — między wenedyjską i lechicką stroną polskiej duszy. Są to dwa przejawy tego samego stanu: bezładnego bogactwa uczuć, niezorganizowanego przez myśl ani rutynę, które albo wytrawia się w bezpłodnym marzeniu albo nieobliczalnie wybucha. Te dwa zjawiska niejako kompensują się w Polaku, jedno zależy ściśle od drugiego. Wyspiański i Słowacki ukazali je w tragicznym rozdwojeniu.

Tak więc między utworami obu tych wizjonerów niewątpliwie istnieje głęboka wewnętrzna analogia, zrodzona przede wszystkim z pokrewieństwa tematów, ze śmiałego zamiaru dania przekroju duszy narodowej. Że można także mówić o wpływie, dowodzi uderzające podobieństwo wywołujących symbolów: złotego rogu i harfy oraz męczącego nastroju oczekiwania, tak znamiennego dla *Wesela* jak i *Lilli Wenedy*. Ale samo zagadnienie — źródło wszystkich powyższych analogii jest zasadnicze i wieczne — i właśnie ta jego zasadniczość rzuca taki rumieniec życia na *Wesele*, równie żywe dzisiaj na scenie londyńskiej, jak przed laty 48 w Krakowie.

Jak uprawić, mądrze rozprowadzić i wykorzystać bogactwo uczuć i zamierzeń duszy polskiej, jak sprawić, żeby nie marniało w bezpłodnym marzeniu, albo, co może gorsze, nie wyładowywało się w nieprzemyślanych, niepotrzebnych, często jakże zgubnych porywach? Jak przerodzić je w świadomy, celowy i skuteczny czyn; czyn, który zaczynałby się we właściwej chwili, postępował według zamierzonego planu i wytrzymał twardo do końca? Zagadnienie jest stare i rada na nie jest stara: więcej myśli i więcej dyscypliny do polskiego stopu — a stanie się najlepszy na świecie. Ale jak to osiągnąć — jak sprawić, ażeby, słowami Norwida, „każdy czyn polski nie wschodził zbyt wcześnie, a każda książka za późno" — tego zagadnienia nie rozwiązał ani Słowacki, ani Wyspiański. Nie próbowali zresztą rozwiązać — wskazali je tylko w sposób wstrząsający i pobudzający słuchaczy do szukania rozwiązań. A taki przede wszystkim jest społeczny cel sztuki.

WIKTOR TROŚCIANKO

KOMPOZYCJE I HISTORIA

JAKIEKOLWIEK uwagi w sprawach dotyczących wydarzeń kulturalnych w Polsce są z tutejszej perspektywy rzeczą i trudną i ryzykowną. Trzeba nieustannie pamiętać o tym, że między kulturą polską a tak zwanym życiem kulturalnym w Polsce przebiega bardzo istotna granica; że dalej granica ta przebiega linią zygzakowatą, jest często niewyraźna, gubi się i gmatwa; że to o czym się mówi i pisze w Polsce jest tylko ułamkową częścią najważniejszych problemów naszej kultury. Wreszcie — a to zazwyczaj bywa decydujące — nie o wszystkim w Polsce pisać można, a tutaj nie o wszystkim pisać należy. Cechą bowiem obecnej okupacji naszego kraju jest oprócz mechanizmu terroru fizycznego, skomplikowany system okupacji ideowej; głównym jej celem i ostatecznym jest nie tylko włączenie *polityczne* naszego terytorium narodowego w pewien polityczny system, lecz wyłączenie ideowe narodu polskiego z dotychczasowej wspólnoty cywilizacyjnej i włączenie w nową, o której nawet nie można mówić jako o wspólnocie, ponieważ ma być totalnym monolitem, w którym wszystkie odchylenia są bezwzględnie likwidowane.

Tak więc, gdy na łamach krajowej prasy katolickiej toczą się polemiki zasadnicze — używane są tylko argumenty z dziedziny czystej abstrakcji. Wszelkie dyskusje aktualne, jeśli takie są, przerzucane bywają albo w sferę „platońskiego świata idei" albo na partykularz spraw mało ważnych, w których dyskutantom chodzi jakoby o drobiazgi, przy założeniu, że się ustaliło podstawowe pojęcia obecnego życia narodowego. Oprócz takiego, pozornego escapizmu, dyktowanego warunkami okupacji komunistycznej, istnieje także escapizm indywidualny, wywodzący się z oportunizmu, z tej „konieczności życia", a więc życia w fizycznym tego słowa znaczeniu za cenę pewnych koncesji. Tak więc jeśli ktoś uważa, że powołaniem jego jest piśmiennictwo, że nie ma pisarza bez wydawania książek, to musi dojść do wniosku, że jedynym wyjściem jest włączenie się w nową rzeczywistość, przemilczenie spraw niemożliwych do głośnego omawiania, zejście w głąb życia duchowego, w głąb jednostki.

Czy te zawiłe systemy ucieczki od problemów bolesnych dały rezultaty w twórczości literackiej jest rzeczą — dla mnie osobiście — wątpliwą. Dramat naszego narodu jest bowiem problemem najgłębszym, jest obecnie jedynym motywym godnym antycznej tragedii, wyrazem naszej epoki i ktokolwiek chce wyczerpać swą twórczość tematyką marginesową oszukuje przede wszystkim sam siebie, gwałci swoje życie duchowe i daje z siebie coś, co jest produktem zastępczym, tu i ówdzie naszpikowanym aluzjami.

Gdy się stąd o tym myśli— nie można tej skomplikowanej sprawy zbyć wzruszeniem ramion — po co piszą? Piszą. Życie nie stoi w miejscu i nie znosi próżni. Za okupacji niemieckiej też pisali. Tylko nie wydawali drukiem, albo jeśli wydawali to bezimiennie. Warunki jałtańskie narzuciły Polsce dekorację wolności. Rozbrojono nie tylko oddziały leśne, organizacje bojowe i polityczne — rozbrojono, a przynajmniej usiłowano rozbroić duchową organizację Polaków. Częściowo to się udało. Dziś pisze i drukuje każdy. I każdy pewne sprawy przemilcza. Ponieważ jednak czuje się z tym źle — albo przestaje pisać, albo coraz bardziej „wychyla" się z tej swojej tematycznej celi — albo idzie do więzienia, jak się to ostatnio stało z Pawłem Jasienicą. Treścią polskiego życia w kraju pozostała nadal *walka*, toczona w innej płaszczyźnie. Wcześniej i szerzej zrozumiała to oczywiście strona ofensywna — komuniści, później i węziej — strona polska.

* * *

Mając to wszystko na uwadze, a i to przede wszystkim, że obecnie reżym sowiecki w Polsce zaostrzył terror ideologiczny, że argumenty ogłaszane w druku popiera więzieniem ludzi ze świata kultury — pomiętając o tym zaiste trudno byłoby napisać klasyczną recenzję o książce, która przed pół rokiem mniej więcej dotarła na teren emigracji — o cyklu powieściowym Antoniego Gołubiewa *Puszcza* i *Bolesław Chrobry*. Jedno trzeba powiedzieć na wstępie: jest to książka *ze świata kultury polskiej*, z polskiej twórczości i polskich przeżyć. Napisał ją człowiek znany z pracy literackiej i publicystycznej przed wojną, wychowanek polskiego gimnazjum i polskiego uniwersytetu.

Antoni Gołubiew, człowiek obecnie w granicach lat czterdziestu, należał do tej przedziwnej organizacji katolickiej, której chorobliwa gorączkowość w poszukiwaniu rozwiązań społecznych zaprowadziła niektórych ludzi daleko — aż poza obręb polskiego życia narodowego. Mówię o wileńskim *Odrodzeniu*, którego czynnym członkiem był Gołubiew w latach trzydziestych, współpracując jako literat w miesięczniku *Pax*. Debiuty literackie Gołubiewa z tych czasów nie należały do fascynujących. Piszący te słowa nie uważa ich za udane. Zarówno powieść „radiowa" Gołubiewa (książka najpierw w odcinkach nadawana przez Rozgłośnię Wileńską PR), jak nowele i szkice w *Paxie* grzeszyły szarżą na oryginalność formy i tematyki, przenosiły się w modny świat nadrealizmu i symboliki. Jako publicysta, żarliwie podejmujący tematykę społeczną, stawiający rozwiązania spraw społecznych ponad wszystkie zjawiska życia narodowego — był Gołubiew typowym przedstawicielem wileńskiego *Odrodzenia*, którego ostra walka ideowa z ruchem narodowym jest dobrze znana każdemu, kto przeżył owe czasy zmagań o oblicze ideowe młodego pokolenia. W zmaganiach tych *Pax* i *Odrodzenie* szukały sprzymierzeńców w rządzącym obozie sanacyjnym, oddawały swe pióra na użytek oficjalnych organów sanacyjnych, walczyły z narodowymi wpływami na uniwersytetach. Pierwszym wstrząsem była sprawa *odrodzeniowca* Dembińskiego. I ona jednak nie nawróciła z uprzedniej drogi ludzi *Odrodzenia*, widzących lekarstwo na każdą chorobę społeczną w granicach etyki socjologii i ekonomii, nie widząc jej natomiast w polityce i to ani w wewnętrznej, ani zewnętrznej. W tych dziedzinach wileńskie *Odrodzenie* powtarzało formułki obozu sanacyjnego.

Katastrofa wojenna skierowała myśli niejednego Polaka na zagadnienia, tkwiące w historii polskiej na przestrzeni całego bytu objętego kroniką dziejopisów. Wiele z tych prac na pewno nie ujrzało światła do dzisiaj. Niektóre z nich (gorsze) zostały naprędce poprawione i przystosowane do nowej rzeczywistości. Inne, jak utwory literackie w rodzaju cyklu powieściowego Antoniego Gołubiewa zostały wydane i to — przez *Czytelnika*. Faktu wydrukowania książek Gołubiewa przez instytucję Borejszy nie uważam za żadną koncesję na rzecz kultury polskiej, z którą przecież Borejsza musi walczyć i walczy. Czytelnik doszukał się w Gołubiewie mimowolnego sprzymierzeńca w pewnych określonych tematach i to, podkreślam — *mimowolne* — przymierze zadecydowało, że *Puszcza* i *Bolesław Chrobry* ukazały się pod firmą oficjalnej firmy wydawniczej komunistycznego reżymu w Polsce.

Przedstawienie przez Gołubiewa pogranicza epok na terytorium Polski z okresu wczesnohistorycznego nasuwa poważne zastrzeżenia z punktu widzenia

---

JERZY FACZYŃSKI

STAW

Gonię po piasku sen swój, co się chowa
jak plamka słońca w cieniu starych dębów,
w gałęziach których Ojczyzna zaplata —
rodzimy Olimp.

Dzisiaj — wiek klęski — a rozpacz zarasta
wszystkie muzyczne ścieżki lat młodości;
trudno się skarżyć, gdy nie można płakać —
trza Boga prosić:

aby ukoił oczy umęczone,
drążące pustkę nie wiedząc gdzie spocząć,
obrazem chmury z ojczystego pola —
odbiciem w wodzie.

W parku Tête d'Or w Lyon — 24. 3. 40

kultury polskiej, a zwłaszcza polskiej historii. Powie ktoś, że powieść, utwór literacki ma z historią niewiele wspólnego, że przecież Sienkiewicz w *Trylogii*, Prus w *Faraonie* operowali także światem fantazji i dowolności artystycznej, ale... ale właśnie temat Gołubiewa to sprawa zasadnicza, gdzie omyłki są niewybaczalne, zwłaszcza jeżeli się będzie pamiętało, że jest to *pisarz katolicki*. Przedstawienie zmierzchu starych bogów i nadejście *Kyrii Krysta*, a więc przekształcenie Polski pogańskiej w średniowieczne państwo chrześcijańskie, uważam za całkowicie chybione w cyklu powieściowym Gołubiewa. Rzecz rozgrywa się w *płaszczyźnie psychologicznej* ambitnego księcia Mieszka, oraz jego syna. Niewygodnie jest żyć w pogaństwie — nie opłaca się po prostu, gdy potęga miecza i potęga książki idą pod imieniem *Kyrie Krysta* — chrześcijaństwo da więcej możliwości i korzyści *osobistych*. Z imieniem Chrystusa na ustach nawet morderstwo i zbrodnia pospolita będą odpuszczone. Takie spojrzenie — od strony psychologicznej — na pierwotnego człowieka, niemal na okaz z epoki kamiennej, jest historycznym fałszem, bo jest tylko *połową prawdy*. Gdy zaś autor swoją kompozycję z *Puszczy* przenosi na *Bolesława Chrobrego* i przedstawia go jako pomnożenie jurności jego ojca, gdy pod uderzeniem Bolesława pada więcej świętych dębów pogańskich i jeszcze więcej polskich wojów z „rozszczepionymi łbami" — nieporozumienie historyczne Gołubiewa staje się symptomem cyklu. Oto bowiem — rozumuje *Czytelnik* — jedna z epok, jeden z zakrętów dziejowych, z którego ostają się chytrzy i silni, ci, którzy prędzej ugną kark przed panem, a gorliwiej uderzą w stare, przestarzałe świętości. Jeden z zakrętów dziejowych. Biada tym, którzy patrzą wstecz — biada reakcji!

Bolesławowi w założeniu państwa brak jakiejkolwiek koncepcji. Kieruje się wyłącznie i tylko odruchami. Gdy jest wściekły — bije, gdy zadowolony — pije, gdy zmęczony — śpi. A Bolesław jest tylko postacią centralną. Takimi są niemal wszystkie inne postaci tych dwóch książek, w których mord szaleje co kilka stronic, a z mordem gwałt, wyżycie się seksualne, żarcie i sen. I tak wciąż i wciąż, aż do zmęczenia. Gdy autor przedstawia postać, krótką działalność i śmierć św. Wojciecha — jest to jeden z najmniej przekonywających fragmentów książki. Świętość ta jest papierowa i nieciekawa. Gdy powraca wciąż, jakby do ulubionego tematu, do okrucieństw, walki i gwałtów — jest poprawny, lub dobry. Do jednej z najbardziej udanych scen należy najście Normanów na puszczę i zdobycie Jamborga. Ludzie Gołubiewa dławią się wprost namiętnościami; nie jedzą, a żrą, nie mówią, a parskają, wrzeszczą; zaraz po zdobyciu osiedla — gwałcą, gdy tuż obok płynie jeszcze ciepła krew i leżą pobici mężowie z rozpłatanymi łbami. To już oczywiście kwestia prywatna autora. Piśmiennictwo w poszukiwaniu prawdy życiowej osiągnęło stopień realizmu taki, który potem naśladuje życie.

Mnie ta koncepcja estetyczna nie odpowiada. Nie występuję jako rzecznik mdłego i sentymentalnego „romansu historycznego", w którym autor podciąga mniej więcej znane z historii postaci pod „złe" i „dobre" duchy swoich książek. Jeśli jednak artysta zapomina, że nierozłącznym atrybutem twórczości jest piękno — cała robota na nic, choćby pokazał najbardziej prawdziwą prawdę wydarzeń i charakterów. *Iliada* i *Odyseja* nie dlatego przetrwały, że pod Troją, czy w przygodach Odyseusza tak właśnie *było*. Tam nawet każda kropla krwi ma swój cel kompozycyjny, jak w obrazach wielkich malarzy każde dotknięcie pędzla do płótna.

Jeśli Gołubiew jako cel kompozycyjny postawił sobie pokazanie prawdy i piękna *stawania się narodu i państwa* — to nie pokazał niczego prócz zlepku mniej lub więcej udanych scen historycznych. Jeżeli chciał powiedzieć, że na początku były chuć i chaos — to nieprawda, bo na początku było słowo, a więc idea. O Gołubiewie krytyka literacka w Polsce pisze, że jest wspaniałym okazem literackiego witalizmu, że kocha życie w jego wszystkich objawach. Na tle powieści wywiązała się nawet śliska dyskusja z zarzutami rzekomej pornografii w *Puszczy* i *Bolesławie Chrobrym*. Zarzuty te są oczywistym nieporozumieniem, choć i w tej dziedzinie książka „rżnie prawdę" prosto w oczy. Nie mógłbym się zgodzić co prawda na argumenty nie tylko komunistów w tej dyskusji, ale i na argumenty... katolików. Ale to inna sprawa i na tle spraw ważniejszych dokoła tych książek naprawdę najmniej warta dyskusji. Natomiast sama koncepcja przełomu epok, koncepcja stawania się narodu i narodzin państwa — jest warta dyskusji. Ale właśnie o tym cicho.

Gdy się zaś o tym mówi i czyta nie podobna przemilczeć utworu w wojennej literaturze polskiej, posiadającego zalety kompozycyjne w dziedzinie estetyki i w świecie idei, które leżały u kolebki Polski. Mówię o *Srebrnych Orłach* Teodora Parnickiego. Jego postaci i sprawy, dokoła których się obracają, noszą na sobie piękno rzetelnego talentu i głębokiego znawstwa tematu. Parnicki wprawdzie od tematu ściśle polskiego ucieka na lepiej sobie znany teren Italii, ale włączenie wątka polskiego w świat tworzącej się cywilizacji chrześcijańskiej jest przykładem głębokiego przemyślenia tych spraw. Odnosi się wrażenie, że Parnicki nie tylko rozumie psychikę swych postaci, ale wie doskonale i to, o co im chodzi w skomplikowanym świecie życia jednostek i narodów.

Tego właśnie brak Gołubiewowi. Aż szkoda dobrych stron cyklu. Udanego zarchaizowania, co nie było ani pracą łatwą, ani powierzchowną. Ta właśnie część — język epicki i epickie sceny *Puszczy* i *Bolesława Chrobrego* pozwalają mieć nadzieję na lepszą przyszłość w twórczości Gołubiewa. Z tej strony widać jego niewątpliwy talent, a więc — mimo wszystko — czynnik decydujący w życiu i pracy artysty.

JERZY PIETRKIEWICZ

KONFLIKTY DRAMATYCZNE W SZTUKACH SARTRE'A

Wśród pisarzy, którzy zdobyli stosunkowo szybki rozgłos po ostatniej wojnie, Francuz *Jean Paul Sartre* nie jest w naszym osądzie sławą przejściową. Można być sceptycznym wobec teorii tzw. egzystencjalizmu, którą szeroka publiczność złączyła na zawsze z nazwiskiem Sartre'a; można także wątpić w jakość wielu prac literackich tego ojca nowej „filozofii", gdyż zajmują się one problemami metafizyki, estetyki, literatury, polityki oraz aktualiami typowo dziennikarskimi, nie można jednak lekceważyć talentu dramatycznego Sartre'a, który znacznie przewyższa jego próby powieściowe. Dramaty Sartre'a zresztą doczekały się największej ilości przekładów (także na polski), a w teatrach angielskich po efektownym wprowadzeniu *Huis Clos* w roku 1946 *(Arts Theatre)* stanowią one teraz mocną pozycję kasową.

Poza sukcesem, zagwarantowanym w tym wypadku przez środowisko raczej intelektualne, kryje się przecież znacznie więcej: Sartre wyraził w dramacie to, co powieść powojenna z trudem próbowała wycisnąć z autentyzmu przeżyć; poza teatrem Amerykanina *Thorntona Wildera* jedynie sztuki Sartre'a potrafią ukazywać współczesność w układzie szerszym, niż koncepcje polityczne lub socjalne, — stąd aktualność, pozbawiona na szczęście, propagandowych wniosków. I jeszcze jedno czyni z dramatów Sartre'a sprawę w pełni literacką, a mianowicie związek jego techniki pisarskiej z teatrem poprzedniej epoki, z *Shawem* oraz *Ibsenem*. W tym związku znajdujemy więcej różnic, aniżeli zależności, chociaż kontynuacja środków wskazuje na brak zasadniczego nowatorstwa: różnice wynikają z interpretacji człowieka w konflikcie dramatycznym.

Biorąc pod uwagę cztery sztuki Sartre'a, oraz jego scenariusz filmowy, pomijamy wczesne *Les Mouches* oparte na motywie antycznym, oraz najnowsze *Les Mains Sales*, ponieważ nie oglądaliśmy ich jeszcze na scenie; teatr tego typu, co Sartre'a, wymaga psychicznego udziału widza, sama lektura tekstu nie wystarcza (nawet słuchając *Les Mouches* w adaptacji radiowej nie można sobie wyrobić pełnego sądu krytycznego o tym dramacie).

Film *Les Jeux Sont Faits* posiada walory, typowe dla ekranu, ale charakterystyczne ujęcie konfliktu człowieka wiąże go logicznie z teatrem Sartre'a.

O przejrzystości intelektualnej literatury francuskiej pisze się aż nazbyt często, szczególnie w zestawieniu z literaturą niemiecką czy rosyjską. Satre jest Francuzem i, wierny rodzimemu racjonalizmowi, nie gubi swoich problemów w mgławicach nastrojowości, ani nie wykpiwa się z konsekwencji dramatycznego założenia, wprowadzając *deus ex machina* (nawet u dialektyka Ibsena konflikt czasem rozluźnia się w aurze tajemniczości przez wprowadzenie osoby niejako spoza zarysowanego wątku). Przejrzystość myślową osiąga wódz egzystencjalistów przez bardzo dobrą budowę dramatyczną, do czego przyczynia się w dużej mierze rozsądny wybór tematu (każda sztuka Sartre'a posiada fabułę zarówno oryginalną, jak i przekonywającą); zachowując element prawdopodobieństwa w swoich wątkach

dramatycznych, Sartre wydaje się tym silniej komentować naszą współczesność, choć po bliższym wejrzeniu w poszczególny pomysł widać jak literackie w gruncie rzeczy są wszystkie jego koncepcje.

Dla umysłowości dziennikarskiej teatr Sartre'a będzie niemal publicystyczny, dla bardziej sceptycznego intelektu nawet aktualność *Crime Passionel* (o tle politycznym przypominającym jakiś kraj spoza żelaznej kurtyny, Rumunię lub Bułgarię) wyda się dziwnie oddalona, dziwnie pomniejszona przez literacką perspektywę.

Specjaliści od filozofii kręcą głowami nad metafizyką Sartre'a—profesora, krytycy nie bardzo przejmują się wywodami Sartre'a, autora szkicu o Baudelairze; tymczasem reżyserzy, aktorzy i publiczność teatralna zgodnie przyznają, że ten plakatowy egzystencjalista posiadł geniusza sceny, że od czasu rozdyskutowanych komedii Shawa nikt tak nie potrafił trzymać widowni w napięciu. Jeśli nawet nic nie zostanie z modnej filozofii Sartre'a, zachowa się po nim żywa literatura, z której teatr czerpać będzie natchnienie.

Huis Clos zachowuje jedność akcji, miejsca i czasu; jedność czasu jest tu szczególnie znamienna, gdyż wyraża bezkresną nudę piekła w szczelnie zamkniętym pokoju, gdzie męczy się troje skazańców, dla których piekłem będą ciągłe torsje psychiczne, ponury ekshibicjonizm bez nadziei na choćby chwilową samotność. *Huis Clos*, wzór budowy teatralnej przy celowym ograniczeniu środków, jest niewątpliwie najlepszym z dotychczasowych dramatów Sartre'a i także chyba najgłębszym. Aluzje do niedawnych wydarzeń politycznych bynajmniej nie aktualizują tego bezczasowego piekła: Sartre, jak prawdziwy egzystencjalista, wie, że doczesność ma jedynie sens w dramatycznym problemie wyboru, który tłumaczy się pełniej w śmierci, bezstronnej ilustratorce istnienia. *Huis Clos* pokazuje istotę (esencję) człowieka, wyzwoloną z istnienia; to zamknięte piekło trojga patologicznych ludzi wypełnia niejako obraz psychiczny ich życia, tłumaczy sens poprzednich decyzji: tak jak każdy wybór za życia istniał wewnątrz tych trojga, tak teraz piekło uświadamia się w nich samych i dławi duszę.

Kontynuacją tego samego motywu, który Sartre przedstawia nie jako stronniczy propagator, ale jako literat, jest wspomniany już film *Les Jeux Sont Faits*, notabene bardzo starannie wyreżyserowany i zagrany. Znów problem wyboru został poszerzony o komentarz spoza życia, nie ma tu jednak piekła — jest tylko melancholijny spokój samoosądu poprzez śmierć. Oryginalnością filmu Sartre'a w zestawieniu z *Huis Clos* jest odwrócenie konfliktu: istota człowieka, wyzwolona z istnienia przez śmierć (używamy celowo pojęć egzystencjalistów) została tu niejako zrzutowana z powrotem na jego istnienie, — bohater i bohaterka filmu, mocą niespełnionej miłości otrzymują pozwolenie na próbny powrót do życia, aby poświęcić się wyłącznie własnym uczuciom.

Konflikt, który na nich czeka w okresie próbnym, pomimo pełnej świadomości obranego zadania, jest konfliktem typowym dla gmatwaniny każdego istnienia, — oto człowiek żyje zaplątany w różne sprawy ludzkie, które utrudniają mu wybór i zamazują świadomość wewnętrznej wolności; te sprawy, społeczne czy też polityczne (bohater filmu jest przywódcą imaginacyjnej grupy rewolucyjnej, zwalczającej imaginacyjnego dyktatora) nie pozwalają na koncentrację psychiczną, mylą cele do ukrytego sensu życia, dając przy tym złudzenie idealizmu, poświęcenia, pracy dla drugich. Sartre zdziera fałsz zbanalizowanego społecznikowania naszych czasów (któż z nas nie doświadczył tej choroby na własnej skórze?), tłumacząc poprzez sytuację literacką, że takie działanie w imię innych kryje często podwójny egoizm, chęć nasycenia własnych lęków i ambicji oraz chęć wymigania się przed trudem osobistego wyboru, który jest jedynym trudem w sensie metafizycznym.

Dwoje bohaterów filmu, zamiast załatwić własny problem w krótkim okresie próby, woli go zastąpić pozorami misji (kobieta pragnie na przykład „naprawić" wybór swej siostry i wyprowadzić ją na właściwą drogę), — te pozory mszczą się okrutnie: egoizm kierowania innymi ludźmi nie ratuje tłumu, a bohaterom miłości wytrąca ostatnią szansę z rąk.

Wybór jest aktem ciągłym, tłumaczącym istnienie dyskretnie, aż do ostatniego komentarza śmierci, ale izolacja owego wyboru od gmatwaniny innych istnień przedstawia problem niemal nierozwiązalny, — stąd tragiczny aspekt światopoglądu Sartre'a, tak jak tragiczna jest chrześcijańska interpretacja życia poprzez widmo grzechu pierworodnego (negacja moralności w systemie egzystencjalistów nie powinna być brana zbyt dosłownie, dopiero w zestawieniu z utylitarną doktryną światopoglądu materialistycznego widać melancholijny idealizm uczniów Kierkegaarda).

Technika filmu pozwoliła na efektowne przedstawienie „współczesności" życia i śmierci, — w tym samym mieście, na tych samych ulicach trwają umarli i istnieją ludzie, tylko że żyjący działają w pośpiechu, bez refleksji i heroizmu wewnętrznego.

Dziennikarski związek Sartre'a ze współczesnością ujawnił się najsilniej w sztuce o Francji Petaina *(Morts Sans Sepulture)*, w groteskowej satyrze na konflikt rasowy w południowych stanach Ameryki *(La Putain Respectueuse)*, oraz w studium dramatycznym terroru partyjnego *(Crime Passionel)*. Losy ściganego Murzyna i sentymentalnej prostytutki, która musi wybrać między miłosierdziem i moralnością grupy społecznej *(Senator i jego syn)* noszą niewątpliwie piętno „sartryzmu", ale znów, jak w omawianym filmie, literatura wzięła górę nad koncepcją światopoglądową, bo przecież prostytutka to „la putain respectueuse", dla której konwencje amerykańskiej dulszczyzny są prawie tak samo ważne, jak i dla syna Senatora, co zresztą potwierdza zakończenie sztuki (Murzyn ścigany uciekł, ale za to zemsta motłochu dosięgnęła innego Murzyna, także niewinnego, — odpowiedzialność i decyzja moralna prostytutki kończy się więc na tym przypadkowym rozwiązaniu konfliktu).

Spojrzenie z drugiej strony granicy psychicznej decyduje także o konflikcie między oprawcami milicji a więźniami w *Morts Sans Sepulture*, w tym wypadku Sartre-psycholog pokazuje niepewność wewnętrzną sadystów, ich lęk i przypadkowość w decyzjach (scena kaźni, widziana od strony oprawców).

W *Crime Passionel* nie ma konfliktu ideologicznego, choć powierzchowny widz może nabrać się na lewicowość pierwszego aktu; poruszają się w tej sztuce tryby machiny partyjnej, do których pozornie tylko dopasowane są tryby psychiki ludzkiej. Hugo, sekretarz leadera Proletariackiej Partii uzewnętrznia słabość typowego intelektualisty; jego wątpliwości i skrupuły nie tylko czynią z niego Hamleta doby obecnej, ale i symbolizują mało jeszcze docenianą „siłę trzecią" naszej cywilizacji; właśnie ten Hamlet partyjny odkrywa fałsz kategorycznego decydowania za drugich, jego refleksja bardziej paraliżuje działanie fanatyków, niż kunktatorstwo polityków z przeciwnego obozu. To co Hoederer, kacyk lewicowy, mówi o nowym wspaniałym świecie, zawiera ostrzeżenie dla intelektualistów przede wszystkim, bo mechanizm totalitarnej partii nie może sobie pozwolić na ryzyko w stosunku do jednostek umiejących jeszcze myśleć po cichu i bez pomocy mózgu zbiorowego.

Te akcenty współczesne w sztukach Sartre'a nie zdeaktualizują się pewnie, tak jak nie zdeaktualizowały się problemy Ibsena (z wyjątkiem przesadzonych *Upiorów)*. Ale zamiast argumentów wyrażanych za pomocą dyskusji, jak to czyni Ibsen i jego najlepszy uczeń *Bernard Shaw*, widzimy u Sartre'a nowe zastosowanie starych środków dramatycznych: ludzie jego, choć są celowymi ogniwami argumentu, tłumaczą się więcej przez działanie, niż przez słowa (u Shawa jest wręcz przeciwnie), — stąd przejrzystość układu dramatycznego oraz zdolność przekonywania bez presji propagandowej.

W tej właśnie zdolności leży tajemnica talentu literackiego Sartre'a.

KSIĄŻKA W KRAJU I NA WYCHODŹSTWIE

ROK 1948 jest rokiem planu wydawniczego — głosi propaganda reżymu warszawskiego. Literatura dla mas, upowszechnienie czytelnictwa, demokracja ludowa na odcinku książki — oto slogany, pod którymi kryje się przemyślane w szczegółach opanowanie księgarstwa przez władze komunistyczne. Można już dziś na podstawie licznych wypowiedzi kulturalnych „doradców" spod znaku *Kuźnicy* i *Odrodzenia* określić jak plan ten będzie wyglądał w praktyce.

W Polsce pracuje obecnie poza wydawnictwami państwowymi oraz spółdzielczymi wg komunistycznego wzoru *(Wiedza, Czytelnik, Książka, PIW)* — około 200 wydawców zrzeszonych w związku i pewna ilość niezrzeszonych. Ale działalność firm prywatnych ograniczana jest z roku na rok i gdy w roku 1946 firmy te wydały jeszcze 43,5% ogółu książek, w roku ubiegłym procent ten spadł już do 35. Zmonopolizowanie całego ruchu wydawniczego przez państwo i podległe mu spółdzielnie jest już

sprawą niedalekiej przyszłości. Drogą prowadzącą do tego celu, poza normalnymi metodami służącymi ku zdławieniu inicjatywy prywatnej, jest wejście w życie ustawy bibliotecznej. Czyż nie stanowi to jednego z licznych paradoksów współczesności, że ustawie tej, przynoszącej spełnienie marzenia książki pod strzechą, musi towarzyszyć uczucie głębokiej troski o życie narodu. Nie zamykamy oczu na fakt, że stan księgozbiorów publicznych w Polsce przedwojennej był jednym z najniższych w Europie. Jedna książka przypadała na sześciu mieszkańców, gdy np. w Szwecji stosunek ten był jeden na jeden. Zagadnienie leży jednak nie tylko w płaszczyźnie ilości, lecz doboru. Wypowiedzi bezstronnych fachowców głoszą, że już dzisiaj biblioteki publiczne obesłane są książkami, których nikt czytać nie chce, a brak w nich dzieł, których czytelnik domagał się w równej mierze przed wojną jak obecnie. „Zamówienie społeczne", o którym głośno w prasie reżymowej będzie, rzecz jasna, realizowane przez monopol państwowy, który dostarczy towaru szerokiej sieci bibliotek. Zamówienie to będzie szło wzorem sowieckim w miliony egzemplarzy. Przedsiębiorstwa prywatne, które bądź co bądź posiadają jeszcze nikły zakres swobody w doborze dzieł literackich, nie wytrzymają w tych warunkach kalkulacji handlowej, a pozbawione wszelkich ułatwień ze strony państwa — zakończą swój suchotniczy żywot. W chwili obecnej te zwłaszcza firmy, które posiadają tradycję niepodległościową, jakkolwiek ograniczane w swej działalności, łagodzą w pewnym stopniu ostrze komunizacji na polu wydawniczym poprzez odpowiednią selekcję wznowień i popieranie nazwisk literackich pozbawionych przywileju partyjnego. Gdyby nawet przedsiębiorstwa te zdołały utrzymać się czas pewien, to znajdą się one w zasięgu jednolitej dyrektywy partyjnej określonej nazwą „planu wydawniczego". Po wejściu w życie tego planu ukazywać się będą mogły jedynie takie książki, „których ładunek ideologiczny będzie w swej treści zasadniczej zgodny z dążeniem rewolucji ludowej" — jak to określa J. Bocheński w *Kuźnicy* (Nr 20/141). Klasycy nie będą wprawdzie z planu wyłączeni, lecz przesiani starannie i zaopatrzeni w nowe, „demokratyczne" komentarze.

Wystarczy wziąć do ręki miesięcznik *Nowości wydawnicze*, publikację Sp. Wyd. *Książka*, żeby uzyskać przedsmak tego, czym będzie reżymowy monopol wydawniczy. Miesięcznik ogłasza następujące nowości wydawnicze: Marks, Engels, Ostrowitianow, Kuźniecow, G. Roger *Komunizm i moralność*, Fuczik (komunista czeski), Lampe (ideolog PPR), wspomnienia działaczki komunistycznej Sowińskiej, rozprawa *O prostym człowieku w ZSRR* Bobińskiej, książki dygnitarzy współczesnych Minca i Zambrowskiego, przemówienia Wyszyńskiego i marsz. Sokołowskiego, oraz szereg przekładów z literatury sowieckiej. Obok tego trzy czy cztery powieści współczesne (Brandys, Piętak, Rudnicki) o wiadomym ładunku ideologicznym, pewna ilość książek naukowych i specjalnych oraz tzw. *Biblioteka pisarzy polskich i obcych* — dzieł literatury klasycznej, w doborze których przeważają pozycje dające się łatwiej zinterpretować w duchu nowej „demokracji". Wśród zapowiedzianych tomów tej biblioteki figuruje rozprawa *Myśl pozytywistyczna na Zachodzie i u nas* — temat chętnie dziś ze zrozumiałych względów rozważany. A przedsiębiorstwa prywatne? Pewna zasłużona firma wydawnicza ogłasza w jednym z numerów *Przeglądu księgarskiego* kilkanaście nowości, w tej liczbie: 2 książki z dziedziny historii polskiej — autorów o ustalonej sławie, 4 książki religijne, jedną o dziejach Ameryki i powieść pisarki katolickiej. Porównanie nie wymaga komentarzy. Sama za siebie mówi też uwaga St. Arcta w przemówieniu wygłoszonym na zebraniu Związku Księgarzy, że brak na rynku Sienkiewicza i Konopnickiej. Obydwa nazwiska należą do dwunastu autorów „odebranych" dotychczasowym wydawcom rzekomo w celu szybszego rozpowszechnienia.

Jeśli chodzi o nakłady krajowe, to w ostatnich czasach nastąpił wyraźny ich spadek. Głód książki wśród warstw społecznych, które były dotąd jej odbiorcą, został już w pewnej mierze zaspokojony. Bestsellery powieściowe, które początkowo drukowano w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, posiadają dziś 5—6 tys. nakładu. W stosunku do okresu przedwojennego stanowi to jednak pokaźny wzrost. Rekordowy r. 1929 dał ca 24 miliony tomów produkcji, gdy 1947 wg aproksymatywnych danych — około 50 milionów. Stosunek ten przy uwzględnieniu spadku ludności wynosi 0,7 książki i broszury na głowę mieszkańca w r. 1929, a dwie książki i broszury w 1947. Ale mimo wszystko odbiorcą książki jest jeszcze wciąż cienka warstwa inteligencka. Propaganda masowego czytelnictwa nie dała rewolucyjnych wyników. Czyżby działo się to dlatego, że jest ona nierozłącznie związana z inną propagandą, na którą szerokie masy są i pozostaną głuche? Popularna na Zachodzie i skupiająca setki tysięcy członków instytucja klubów książki nie znalazła jak dotąd w Polsce odzewu. Klub *Odrodzenia* zdołał zwerbować 8 tys. członków. Trzeba na marginesie zaznaczyć, że w tym świetle cyfra 900 członków emigracyjnego *Klubu Książki* stanowi poważne osiągnięcie.

Pod względem pozycji bibliograficznych produkcja wydawnicza w kraju wzrasta stale. I tak w r. 1946 wydano 3.248 książek, a w 1947 — 4.815, czyli o 50% więcej. Przyrost daje się zauważyć z kwartału na kwartał. Rośnie również objętość książki. Cyfry te są oczywiście niższe, aniżeli w innych krajach, np. w W. Brytanii, gdzie w 1947 wyszło 13.046 książek. Niemniej osiągnięcie średniej produkcji książkowej przedwojennej (198 książek i broszur na 1 milion mieszkańców wobec 197 w 1929) stanowi efekt charakterystyczny dla ogólnego wysiłku produkcyjnego kraju.

Oczywiście uwagi te posiadają charakter czysto bibliofilski, nie wkraczając ani w specyficzne przyczyny wymienionych zjawisk, ani w ich skutki związane z ciężarem gatunkowym i wartością ideologiczną nowej książki.

Najistotniejszą jednak przesłanką dla zobrazowania dzisiejszego ruchu wydawniczego w Polsce jest tematyczna statystyka produkcji według działów. W r. 1946 pierwsze miejsce zajmowały książki społeczno-publicystyczne (czytaj — propaganda), stanowiąc 22,7% ogółu wydawnictw tego roku. Z kolei szła literatura piękna 18,3% produkcji. W r.1947 następują zasadnicze przesunięcia. Spada niewspółmiernie rozdęta produkcja książek społeczno-politycznych, zapewne wskutek nasycenia rynku i przejścia do bardziej subtelnych metod propagandowych. Jednocześnie obniża się procent wydawnictw literatury pięknej do 13,6%, prawdopodobnie dzięki częściowej rekonstrukcji dzieł zniszczonych, na które bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych istniał ogromny popyt oraz uregulowaniu stosunków w zakresie praw autorskich.

Natomiast godny uwagi jest fakt stałego wzrostu literatury religijnej. Książki tej treści wydawane są oczywiście tylko przez firmy prywatne i stowarzyszenia religijne. Produkcja książek religijnych wzrasta z 7% w r. 1946 do 12% w 1947. Jeśli przyjmiemy, że książki te pokrywają całość produkcji wydawniczej organizacji religijnych, czyli 9%, to pozostałe 3% przypada na firmy prywatne. Co dziesiąta książka wydawcy prywatnego posiada zatem treść religijną. Jest to chyba najbardziej wymowne świadectwo prądów nurtujących ogół społeczeństwa. Rzuca też właściwe światło na działalność prywatnego wydawcy walczącego o ginącą pozycję.

Na koniec statystyki stwierdzają stały przyrost produkcji książek z dziedziny nauk stosowanych, który wyniósł 100% z r. 1946 na 1947, kiedy ilość dzieł w tej dziedzinie wyraża się cyfrą 28% ogółu produkcji. Wciąż jednak jeszcze brak w Polsce książek technicznych, medycznych itd., a dopływ ich zza granicy jest z wielu względów hamowany.

*

* *

Narzuca się pytanie, w jakim stopniu emigracja wypełniła i wypełnia swe zadanie, jeśli chodzi o ogólnonarodowy dorobek wydawniczy.

Nie istnieje w tej chwili żadne czasopismo bibliograficzne, które mogłoby dostarczyć danych liczbowych o ruchu wydawniczym na emigracji. Związek Wydawców jest w fazie organizacyjnej i odnośnych statystyk nie posiada. Sytuacja zaś na rynku wydawniczym jest tak chaotyczna, że trudno jest rzucać globalne cyfry bez obawy popełnienia poważnego błędu. Ale zestawienia cyfrowe nie są tu istotne. Warunki pracy wydawcy emigracyjnego są zgoła odmienne od krajowych. Nie można porównywać nakładów skoro istnieją bariery celne i nieprzezwyciężone trudności kolportażowe, które uniemożliwiają należyte rozprowadzenie książki. Treściowo — przewagę wydawnictw politycznych tłumaczą obowiązki szczególne, jakie przypadły w udziale emigracji. Prace naukowe i specjalne nie mogą liczyć na wydawców ze względów finansowych. Nadto czytelnikowi — uchodźcy dostępna jest w pewnej mierze literatura obcojęzyczna, a jego zainteresowania piśmiennictwem rodzimym niezupełnie pokrywają się z zainteresowaniami Polaków w kraju. Jedno wszelako stwierdzić można na pewno.

W przeciwieństwie do okresu wojennego i krótkiej, choć bogatej działalności wydawniczej 2 Korpusu, na emigracji nie ukazuje się w tej chwili nic, a raczej prawie nic. W Anglii kilka tomów wydało *Stowarzyszenie Pisarzy Polskich*, *Gryf* i *Mildner*, kilka tomów ukazało się nakładem autorów lub firm powstałych *ad hoc* i kończących żywot po wydaniu jednej książki. We Włoszech wegetuje jeszcze firma *La Rondine*, *Instytut Literacki* w Paryżu zapowiada

dwie książki. W Niemczech drukuje się coś niecoś i w dość dużych nakładach, ale rynek jest zamknięty z uwagi na trudności dewizowe. Żywy ośrodek wydawniczy w Palestynie, mający za sobą ponad 100 pozycji katalogowych, przestał istnieć. *Światpol*, który wydał kilkadziesiąt książek, przerwał obecnie działalność na tym polu, tak samo jak prywatne polskie firmy księgarskie w Anglii i w Ameryce. Nie wydaje nic Belgia, mimo że warunki są tam korzystniejsze niż w W. Brytanii.

Trudno oczywiście wymagać od prywatnego wydawcy mecenatu czy bezinteresownej działalności kulturalnej. Nasza zaś reprezentacja rządowa i społeczna nie rozporządza znaczniejszymi funduszami na ten cel. Wydawcy twierdzą, że opłacalność publikacji zachodzi przy 2.000 nakładu. Tymczasem dobra książka rozchodzi się w 500 egzemplarzach, a pozostałe 1.500 leży na składach. Czy nie należałoby jednak poddać rewizji tego poglądu? Przed wojną cena książki była kalkulowana w ten sposób, że pierwszych 600 egzemplarzy pokrywało koszty wydania. Oczywiście produkcja jest dzisiaj znacznie droższa, ale wzrosła też i cena książki.

Trzeba również pamiętać o tym, że w miarę przechodzenia uchodźców do życia cywilnego, zarówno w Anglii, jak w krajach osiedlenia — rośnie popyt na książkę. Życie w walizce nie sprzyja gromadzeniu balastu bagażowego. Stabilizacja rodzi potrzebę posiadania nie tylko w zakresie przedmiotów codziennego użytku. W warunkach oderwania od kraju, zagubienia jednostki w cudzoziemskim morzu, głód książki polskiej zjawia się sam z siebie bez potrzeby propagandy czytelnictwa masowego. Należyte wykorzystanie tej koniunktury zależeć będzie od wydawcy. Nie jest tu konieczny żaden narzucony z góry plan wydawniczy. Sam fakt pozostania wydawcy na emigracji stanowi rękojmię dobrze pojętego obowiązku, jeśli chodzi o „ładunek ideologiczny" książki. Jeśliby można mówić o planowaniu, to jedynie w sensie jedności kultury polskiej: uzupełniania pozycji, których brak w bibliografii krajowej i przeciwstawiania wolnej myśli twórczej zalewowi propagandy totalistycznej, która nierzadko przybiera pozory pseudonaukowe, a często kryje się pod niebezpieczną formą wartościowych dzieł beletrystycznych. Wydawca emigracyjny musi przejąć rolę prywatnego wydawcy w kraju jeśli chodzi o literaturę klasyczną i wznowienia pominięte ze względów politycznych przez monopol reżymowy. Ponadto głos opinii publicznej domaga się wyjścia poza krąg nazwisk autorów o ustalonej sławie i otwarcia dróg młodym talentom. Ale są to już tematy wymagające odrębnego omówienia.

ALEKSANDRA STYPUŁKOWSKA

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

TOM TRZECI POLOGNE 1919-1939

POLOGNE 1919—1939. *Vol. III. Vie intellectuelle et artistique. Neuchatel*, 1947. Edition de la Baconnière. Stron 784. Cena 24 fr. szwajc.

W numerze 102 *Myśli Polskiej* omówiliśmy dwa pierwsze tomy tego encyklopedycznego wydawnictwa, poświęcone życiu politycznemu, społecznemu i gospodarczemu Polski w okresie jej dwudziestolecia międzywojennego. Tom trzeci zawiera charakterystykę życia intelektualnego i artystycznego; po uwagach wstępnych następują rozdziały dotyczące kolejno literatury, wychowania publicznego, nauki, sztuk pięknych oraz innych dziedzin życia kulturalnego (jak: prasa, radio, kino, wychowanie fizyczne, sport i harcerstwo).

W opracowaniu książki wzięło udział pięćdziesiąt kilka osób, nic więc w tym dziwnego, że poziom poszczególnych rozdziałów czy podrozdziałów nie zawsze jest równy. Uderzają przy tym znaczne niekiedy dysproporcje w traktowaniu tematów. Tak np. tak ważnej dziedzinie życia kulturalnego jak prasa poświęcono tylko króciutkie i bardzo pobieżne opracowanie, obejmujące 6 i ½ stron, podczas gdy rozdział o życiu naukowym, podzielony na 53 podrozdziały i paragrafy, obejmuje 362 strony, tj. blisko połowę książki, i przeładowany jest szczegółami, zwłaszcza nużącym dla czytelnika wyliczaniem nazwisk. W zestawieniu z tym rozdziałem za skąpo również potraktowane zostało życie artystyczne, zwłaszcza muzyka. Brak nadto zupełnie danych, dotyczących ruchu wydawniczego i porównawczych zestawień statystycznych z tego zakresu — rzeczy niewątpliwie mogącej zainteresować czytelnika obcego.

Mimo tych usterek książka, wydana bardzo starannie pod względem graficznym i korektorskim, stanowi osiągnięcie nie byle jakiej miary. Usiłowaniom wrogiej nam propagandy, pomniejszającej i zohydzającej dwudziestoletni okres niepodległości, przeciwstawia ona obraz olbrzymiego wysiłku, dokonanego przez naród polski we wszystkich dziedzinach życia duchowego. Obraz ten wypada niewątpliwie imponująco, a charakterystyki wielu jego aspektów zrobione są bez zarzutu. Toteż jako źródło wiadomości dla cudzoziemców także i ostatni tom *Pologne 1919—1939* posiada bardzo poważną wartość. L.

PRAWO NIE SIŁA

Robert Langer: SEIZURE OF TERRITORY (Zajęcie gwałtem terytorium). Princeton University Press, *Princeton*, 1947. Stron 313.

Jest to omówienie tzw. doktryny Stimsona dotyczącej nieuznawania nabytków terytorialnych, dokonanych przy użyciu siły, lub przy pomocy groźby użycia siły, pod kątem widzenia teorii prawniczej i praktyki dyplomatycznej.

Książka autora amerykańskiego dzieli się na trzy części. Pierwsza zawiera przegląd zmian terytorialnych dokonanych w Europie od 1792 r. mniej więcej do wybuchu drugiej wojny światowej. W części tej omówione są również sprawy bardziej szczegółowe, jak powstanie państw bałtyckich, załatwienie sporów terytorialnych polsko-rosyjskich i rumuńsko-rosyjskich, zagadnienie zabezpieczenia integralności terytorialnej w statucie Ligi Narodów (art. X), sprawa tzw. incydentu mandżurskiego, na której tle właśnie sformułowana została tzw. doktryna Stimsona, ówczesnego amerykańskiego sekretarza stanu, o nieuznawaniu nabytków terytorialnych wynikłych ze stosowania siły. Wreszcie omówione są różne akty i deklaracje, idące po linii tej doktryny, lub treścią swą do niej zbliżone. Wymienione są i omówione m. in. karta atlantycka, traktat przyjaźni angielsko-sowiecki i deklaracja w Kairze, które to akty zbiorowe czy dwustronne zawierały przynajmniej moralne, chociaż nie legalne, zobowiązania powstrzymania się od nabytków terytorialnych.

Część druga omawia aspekty prawnicze zagadnienia uznawania czy nieuznawania nowopowstałych państw i rządów oraz transferu terytorium państwowego.

Wreszcie trzecia, najobszerniejsza część książki omawia stosowanie doktryny Stimsona w praktyce dyplomatycznej w latach od 1934 do 1946 r. Zebrane są tu szczegółowe materiały dotyczące konfliktów na Dalekim Wschodzie (w Mandżurii, Chinach), w Etiopii (Abisynii), Austrii, Czechosłowacji i Albanii, wreszcie sprawy związane z ekspansją terytorialną Sowietów w kierunku zachodnim, a więc z zabraniem Polsce jej ziem wschodnich, z aneksją państw bałtyckich, części Finlandii, Besarabii, północnej Bukowiny, wreszcie Rusi Zakarpackiej.

W końcowym rozdziale autor przedstawia swoje wnioski. Według niego tylko Stany Zjednoczone dość konsekwentnie uprawiały politykę nieuznawania zmian terytorialnych dokonanych siłą. Inne państwa na ogół nie wykonały swych zobowiązań wynikających ze stosowania art. X paktu Ligi Narodów, który nakazywał respektowanie i podtrzymywanie integralności terytorialnej i niepodległości politycznej wszystkich członków Ligi Narodów. Wyjątek stanowiła sprawa incydentu mandżurskiego, odnośnie której zasada nieuznawania siłą dokonanego nabytku terytorialnego zdołała się ostać.

W statucie Organizacji Zjednoczonych Narodów jednak zasada respektowania integralności terytorialnej i niepodległości politycznej członków ONZ nie została wprowadzona, a zatem i zasada nieuznawania zmian terytorialnych spowodowanych agresją. W porównaniu więc ze statutem Ligi Narodów mamy tu do czynienia z niewątpliwym uwstecznieniem. Jakkolwiek autor nie zamyka oczu na pewne braki i wady tkwiące w doktrynie Stimsona, sądzi on jednak, że jej zalety znacznie górują. Wierzy więc, że z czasem zasada, którą doktryna ta wyraża, zwycięży w praktyce dyplomatycznej i wprowadzona będzie na trwałe do prawa międzynarodowego. Oznaczać to będzie zwycięstwo maksymy rzymskiej: *Ex iniuria ius non oritur* nad pruskoteutońską zasadą *Macht vor Recht*.

W książce sprawy związane z Polską są dość obszernie omówione, choć, zdaniem naszym, niezupełnie w duchu bezstronnym. Autor wspomina o decyzjach kongresu wiedeńskiego w sprawie Polski, o tworzeniu „Królestwa Polskiego" przez państwa centralne w czasie pierwszej wojny światowej, wreszcie o „sporze granicznym" polsko-sowieckim z lat 1919—1921. Pisze przy tym o „przesadnych roszczeniach polskich". Jakkolwiek Sowiety nie wyjawiły żadnych zastrzeżeń przeciwko traktatowi ryskiemu, jednak w sposób naciągnięty i faktami nieusprawiedliwiony wmawia czytelniko-

wi, że Sowiety rzekomo uważały się za pokrzywdzone. Sprawa uznania przez mocarstwa zachodnie granic wschodnich Polski, przedstawiona jest również w świetle wyraźnie niechętnym Polsce.

Przebieg sprawy polskiej w czasie drugiej wojny światowej autor podaje trybem sprawozdawczym w rozdziale poświęconym ekspansji terytorialnej Sowietów. Przytacza on przy tym najważniejsze oświadczenia rządu polskiego w związku z roszczeniami sowieckimi do ziem polskich i uchwałą jałtańską w sprawie Polski, jednak podaje też obszerne wyjątki z przemówień Churchilla i Roosevelta, usprawiedliwiające zajęte w Jałcie stanowiska brytyjskie i amerykańskie.

Autor miał znakomitą sposobność wykazania, iż praktyka dyplomatyczna w sprawie Polski sprzeniewierzyła się zasadom tzw. doktryny Stimsona o nieuznawaniu zmian terytorialnych dokonanych drogą agresji. W sprawie Polski właśnie zatriumfowała, przynajmniej czasowo, siła nad prawem. Złowrogie oddziaływanie Rosji Sowieckiej na moralne podstawy współżycia międzynarodowego zostało przez Langera całkowicie pominięte.

(m. ost.)

APPEASERSKA PARADA

A FOREIGN POLICY FOR THE UNITED STATES. *Edited by Quincy Wright.* (Polityka zagraniczna dla Stanów Zjednoczonych.) The University of Chicago Press, *Chicago*, 1947. Stron 405.

W Stanach Zjednoczonych, kraju najbogatszym na świecie, istnieje wiele różnych fundacji naukowych, jak Rockefellera, Carnegie'go itd. Należy do nich również fundacja poświęcona pamięci Normana Wait Harrisa, która umożliwia organizowanie periodycznych zebrań naukowych i publikowanie rezultatów tych zebrań.

Książka, wymieniona w nagłówku, zawiera referaty, wygłoszone na zebraniu pod auspicjami wspomnianej fundacji w dn. 15—19 lipca 1946 r., oraz *résumé* dyskusji, która się rozwinęła wśród uczestników tego 22. Instytutu fundacji, jak to trochę szumnie się nazywa. Zebranie poświęcone było rozważeniu zasad, na jakich oprzeć się powinna polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych.

W kraju tym istnieje skłonność do tworzenia różnych grup, które zbiorowo przetrawiają pewne zagadnienia, dyskutują publicznie nad nimi i później ogłaszają grube tomy. Udział w tych różnych forach, „instytutach", kursach wakacyjnych itd. nie zawsze wynika z poszukiwania prawdy i chęci głoszenia jej, ale często jest wyrazem specyficznie amerykańskiej manii *publicity*, chęci paradowania przed okiem publiczności.

Poza tym jeszcze jedna uwaga nasuwa się w związku z omawianą książką. Nauka amerykańska ma w wielu dziedzinach wielkie osiągnięcia do zanotowania. Wśród pewnej części uczonych amerykańskich daje się jednak zauważyć niepokojąca tendencja do oddziaływania na życie społeczne i polityczne w zakresie tak szerokim, że zgoła niewspółmiernym z rolą, jaką winna spełniać nauka. Pamiętne są wystąpienia grupy fizyków i chemików amerykańskich, pracujących w dziedzinie badań nad atomem, wystąpienia domagające się udostępnienia całemu światu wyników doświadczeń amerykańskich i wywierające nacisk na politykę amerykańską w kierunku przyjęcia żądań rosyjskich w tym zakresie. Grupa uczonych, skupiająca się dokoła fundacji Wait Harrisa, obrała sobie temat, obracający się w ramach polityki praktycznej. W tej dziedzinie profesor może być, i często bywa, dyletantem; może mieć swoje określone predylekcje czy uprzedzenia, które nic nie mają wspólnego z postawą naukową.

„Instytut" fundacji Wait Harrisa był terenem popisu nastrojów i opinii appeaserskich wobec Rosji. Gdy profesorowie, o nazwiskach zresztą nie bardzo znanych na obszarach pozaamerykańskich (wiele zresztą nazwisk niemieckich), radzili nad wytyczeniem zasad dla polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, zastępując w tym Departament Stanu czy Kongres Stanów Zjednoczonych, miękka postawa amerykańska wobec Związku Sowieckiego dopiero zaczęła się usztywniać i nabierać akcentów ostrzejszych.

Podkreślano więc zarówno w referatach, jak w dyskusji podejrzliwość Rosji, upatrując w niej sprężynę ekspansjonistycznych działań sowieckich rzekomo zmierzających do ugruntowania bezpieczeństwa Rosji. Rozpraszanie tej podejrzliwości uważano nieledwie za najważniejsze zadanie polityki Stanów Zjednoczonych. Poświęcano też bez ubolewania i wyrzutu sumienia bezpieczeństwo i interesy państw, położonych „w pasie bezpieczeństwa" Rosji, jak to eufemistycznie nazywano. Niektórzy mówcy odżegnywali się wprawdzie od pomysłów dzielenia świata na dwie wielkie sfery wpływów, jednak inni szli w ułagadzaniu Rosji tak daleko, że przestrzegali przed jakimkolwiek naciskiem w kierunku zapewnienia uczciwych, demokratycznych wyborów w Polsce i innych krajach satelickich Rosji. Odezwał się wprawdzie też i głos, iż Związek Sowiecki i Stany Zjednoczone mogą znaleźć płaszczyznę porozumienia tylko wtedy, jeżeli będą respektowały prawa słabszych narodów, położonych między nimi, ale mówca miał zapewne na myśli państwa Europy Zachodniej, poza tym oświadczenie to traktuje równorzędnie politykę Stanów Zjednoczonych i Rosji w stosunku do innych państw, co świadczyłoby o nieznajomości rzeczy. Było ono zresztą jednym z nielicznych odstępstw od dominującej nuty wielkomocarstwowej, w myśl której los świata zależałby od woli Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej.

(m. ost.)

WYMÓG MORALNOŚCI

John Middleton Murry: THE FREE SOCIETY (Wolna Społeczność). *Andrew Dakers Ltd., Londyn,* 1948. Stron 292.

Książka tego liberała i pacyfisty angielskiego wywołała pewnego rodzaju sensację, bo właściwie nawołuje on do... wojny prewencyjnej, do wojny przeciwko Rosji. Streścić tę książkę nie jest rzeczą łatwą, bo sięga ona w najrozmaitsze dziedziny: filozofii, teologii, socjologii, polityki, ekonomii. Autor jest dziennikarzem, autorem długiego szeregu książek i zapisał się w pamięci publiczności angielskiej, jako gorący wyznawca idei pacyfistycznych. Przez pewien czas pełnił funkcje głównego cenzora. (Zaznaczmy na marginesie, że pierwszą jego żoną była urocza pisarka Katherine Mansfield, która jak meteor zabłysła na krótko na firmamencie literackim Anglii.)

Książka ujawnia nam umysł nieprzeciętny, o dużej kulturze i samodzielności, ale też o pokaźnej ekscentryczności i zarażony duchem protestanckim *à outrance*. Postawa autora wobec Kościoła Katolickiego w szczególności, a kościołów różnych wyznań chrześcijańskich (nie wyłączając anglikańskiego, prezbiteriańskiego i in.) w ogóle jest bardzo znamienna i wskazuje bardzo wyraźnie, do czego prowadzi nieograniczona swoboda interpretacji wskazań wiary przez jednostkę. Odrzuca on bowiem *implicite* instytucję Kościoła, jako nieprzydatną dla potrzeb doczesnych, a nawet i wieczystych człowieka współczesnego, i egzystencję chrześcijaństwa w sposób dosyć sztuczny wiąże z istnieniem wolnych społeczności.

Nie zamierzamy Czytelnika prowadzić po czasem dość zawiłych ścieżkach myślowych autora. Pisze on wprawdzie zawsze inteligentnie, niekiedy spotykamy ujęcia i spostrzeżenia trafne i interesujące, poszukiwanie prawd najgłębszych jest niewątpliwie silne i szczere, jednak w sumie wydaje nam się, że wysiłek ten jest niewspółmierny do rezultatu, z powodu dziwacznych wyskoków autora.

Pozostawiamy zatem na uboczu cały ten balast filozoficzno-socjologiczny książki, zawarty głównie w jej części drugiej, a zajmiemy się tylko stroną ściśle polityczną wywodów autora.

Otóż — według niego — najgłówniejszym, a właściwie jedynym wrogiem społeczności wolnych jest komunizm totalitarny, izolujący naród rosyjski od reszty świata, nie uznający panowania prawa moralnego, nietolerancyjny, wrogi wolności sumienia.

W przeciwieństwie do tego „wolna społeczność polega na uznaniu prawa moralnego, które jest wyższe niż jakiekolwiek nakazy państwa, które wymaga tolerancji, chociaż nie tolerancji wobec nietolerancyjnych" (str. 112). Ta wolna społeczność jest, według autora, głęboko chrześcijańska, a na zasadzie swej tolerancyjności „może słusznie uważać się za pierwszą i jedynie chrześcijańską społeczność ustanowioną przez człowieka i Boga" (str. 121).

System sowiecki, chociaż ustawicznie szermuje pojęciem demokracji, nie ma przecież z nią niczego wspólnego. Autor dobrze definiuje pojęcie demokracji w rozumieniu Zachodu, gdy pisze, że w ustroju tym rząd dochodzi do władzy z woli większości, jednak jest poddawany ciągle krytyce, która ma kompletną swobodę wypowiedzi. Rząd musi podać się do dymisji, skoro tylko większość, wyrażająca się w tajnym głosowaniu uzna, że „ma go dosyć".

System sowiecki ignoruje to prawo większości, podstawowe dla ustroju wolności politycznej. Nie uznaje on oczywiście i prawa do krytyki. Autor pisze na str. 197: „Ukazy państwa komunistycznego są nakazami grupy ludzi, którzy ujęli władzę i umocnili się w niej przez bezwzględne niszczenie wszystkich potencjalnych ośrodków krytyki. Nie można powiedzieć, by ich poddani będący zmuszeni ich słuchać tym samym ulegali swej lepszej naturze, która przecież polega na własnym sumieniu. Gdzie oddziaływanie sumienia jest rygorystycznie wyłączone od kontroli nad państwem, a nawet od efektywnego wpływu na sprawy państwowe, posłuszeństwo wobec państwa oddziaływa po prostu niszcząco na lepszą naturę człowieka. To jest powodem, dla którego ostatecznym końcem

działalności państwa sowieckiego jest wojna. Państwo komunistyczne jest zbudowane na konieczności wojny, na bezwzględnej wojnie domowej przeciwko wewnętrznym „wrogom" (a tak określa się wszystkich tych, którzy je krytykują), a na równie bezwzględnej wojnie, gdy nadejdzie właściwy moment, przeciwko wolnym społecznościom, ponieważ tak długo, jak one istnieją, zagrażają one podstawom moralnym państwa sowieckiego i ponieważ tak długo, jak istnieje państwo sowieckie, zagraża ono ich podstawom moralnym...".

Dopóki więc system komunistyczny w Rosji nie przeobrazi się gruntownie, od podstaw, nie może on współistnieć ze społecznościami wolnymi. Nie wytrzymają one napięcia, wywołanego faktem, iż Rosja oddziela się od świata zasłoną tajemniczości. Szczególnie odmowa Rosji podporządkowania się skutecznemu nadzorowi Komisji Atomowej stwarza stosunki nie dające się utrzymać na dalszą metę. Powoduje to konieczność podjęcia wojny prewencyjnej przeciwko Rosji, o czym autor pisze wielokrotnie. Jest on zresztą przekonany, że sama Rosja, nie chce usunięcia *(abandonment)* wojny w ogóle, pragnie tylko odwlec ją do czasu dla siebie korzystniejszego.

Murry stawia tę alternatywę bardzo wyraźnie: „Albo Rosja... zgodzi się na utworzenie władzy światowej celem zapobieżenia przygotowaniom do wojny, której decyzjom się podda, albo też jeżeli odmówi, wtedy narody, które chcą poddać się takiej władzy — a obejmują one wszystkie narody świata poza blokiem rosyjskim — połączą się celem unieszkodliwienia Rosji. Pójdą one, muszą one pójść, na wojnę z Rosją, a nie będą one mogły czekać, aż Rosja potajemnie przygotuje przygniatający swą siłą aparat zniszczenia. W wypadku swego zwycięstwa w wojnie, które jest prawdopodobne, będą one zmuszone do zniszczenia obecnie istniejącego państwa rosyjskiego, nie dlatego, że jest ono państwem komunistycznym, lecz ponieważ jest totalitarne" (str. 40/41).

Jakkolwiek autor w pewnym miejscu wyraża głębokie przekonanie, że Rosja kiedyś się zmieni, nie ma wszakże złudzeń co do charakteru państwa sowieckiego. Toć to podwójna gra Stalina otworzyła tamy barbarzyństwu hitlerowskiemu i na równi z Hitlerem Rosja Sowiecka jest odpowiedzialna za zniszczenie Europy (str. 55). Związek Sowiecki jest państwem, w którym prawda została zastąpiona propagandą (str.233). „Żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie może uważać jakiegokolwiek traktatu z Sowietami za posiadający wartość" *(ibid)*. Toteż autor dochodzi do wniosku, że byłoby samooszukiwaniem się przypuszczenie, iż możliwy jest pokój światowy na drodze przyjaznego porozumienia między obecnym reżymem Rosji a resztą świata. Wojna prewencyjna przeciwko Rosji, która nie chce dopuścić do utworzenia ciała skutecznie kontrolującego zbrojenia atomowe, chociaż jest rzeczą straszną, zdaniem autora jednak odpowiada wymogom moralności *("is a morally good thing"* — str. 62).

(m. ost.)

MAURRAS WALCZY DALEJ

Charles Maurras: L'ORDRE ET LE DESORDRE. LES "IDEES POSITIVES" ET LA REVOLUTION. Les Iles d'Or, *Paryż*, 1948. Stron 63.

Sędziwy przywódca ruchu prawicowego i rojalistycznego, skupiającego się niegdyś dokoła *L'Action Française*, Charles Maurras w swej najnowszej pracy, pisanej chyba, albo przynajmniej przygotowanej do druku w więzieniu, podtrzymuje podstawowe zasady swego *credo* politycznego z zapałem i siłą przekonania, których mogliby mu pozazdrościć młodzi pisarze.

Dla niego przede wszystkim Francja nie zaczyna się dopiero w 1789 r. Przeciwnie, sądzi on, że Wielka Rewolucja przyniosła Francji jako państwu szkodę, podczas gdy długi szereg monarchów francuskich skonsolidował państwo, wzmacniał i rozszerzał jego terytorium i zawsze stał na straży istotnych jego interesów. Jakkolwiek uważa on, że obecna faza rozwoju politycznego, w której dominującą formą organizacji jest naród, a którą zapoczątkowała Reformacja i pogłębiła Wielka Rewolucja jest cofnięciem się (dekadencją, jak mówi), jednak jest on przekonany, że droga do rozpłynięcia się w jakiejś nieokreślonej społeczności ludzkiej jest zamknięta i że dobro ludzkości może się realizować tylko na drodze popierania interesów własnego narodu. „Niegdyś ludzkość cywilizowana miała swój kres i zabezpieczenie w chrześcijaństwie katolickim, a duch religijny był tak obszerny, jak świat" (str. 21). „W wieku narodowości, w którym żyjemy, naszym pierwszym obowiązkiem jest wzmacnianie, uzbrajanie, opancerzanie naszego narodu; jeśli tego nie uczynimy, będziemy pożarci, strawieni, skonsumowani" (str. 22).

Maurras odrzuca bardzo kategorycznie spuściznę po Wielkiej Rewolucji oświadczając, że „przyszłość idei rewolucyjnych jest dokładnie przeciwieństwem naszej przyszłości narodowej" (str. 27). Przeprowadza on krytyczną analizę haseł rzuconych przez Rewolucję, zwłaszcza haseł wolności i równości. Szczególnie ciekawa jest jego krytyka równości. Realizowanie jej w życiu społecznym (podobnie zresztą, jak i zasady wolności bezwzględnej) prowadzi do anarchii. Jego zdaniem, nierówność jest wprost podstawą życia społecznego, a wszelki postęp rodzi się właśnie z nierówności.

Można się zgadzać lub nie zgadzać z tym, co Maurras pisze. Pisze jednak świetnie i nie można obojętnie traktować jego rozumowania.

(m. ost.)

TREŚĆ Nr 126 (Rok VIII, Nr 9) „MYŚLI POLSKIEJ"

"MYŚL POLSKA"
założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów) 12s. lub $ 4.
Prenumerata roczna (12 numerów) £1. 4s. 0d. lub $ 8.

Printed for „Myśl Polska" by N. MacNeill & Co., Press Ltd., 127 Walworth Road, London, S. E. 17, September, 1948
Telephone: RODney 2839